

Numer poświęcony nowej poezji francuskiej. Cena 1 zł. 20 gr.  
Numéro consacré à la nouvelle poésie française

# KAMENA

MIESIĘCZNIK  
LITERACKI

ROK V NR 3-4

ROK V

KAMENA

3-4 (43-44)

MIESIĘCZNIK LITERACKI

LISTOPAD-GRUDZIEŃ 1937 R.

---

TREŚĆ NUMERU TRZECIEGO-CZWARTEGO

LAUTRÉAMONT

APOLLINAIRE

SALMON

JACOB

COCTEAU

REVERDY

FARGUE

SUPERVIELLE

TZARA

JOUBE

GIDE

SOUPAULT

DESNOS

BRETON

ELUARD

BRETON -- ELUARD

ARP

PÉRET

HUGNET

MARC

LE LOUËT

FOLLAIN

LANNES

LACÔTE

FRAYSSE

MANOLL

BIŃKOWSKI

BRZĘKOWSKI

JAWORSKI

NAPIERSKI

PRZYBOŚ

ROGOZIŃSKI

WAŻYK

BRAQUE

DUFY

LÉGER

MATISSE

MIRO

PICASSO

---

Redaktor: Kazimierz Andrzej Jaworski, Chełm Lub. Reformacka 43.

Przyjmuje w poniedziałki od 15 do 16-ej.

Wydawca: Zenon Waśniewski.

Administracja: Chełm Lub., Reformacka 43

Redaktor odpowiedzialny: Wawrzyniec Berezcki.

Redakcja i administracja w lipcu i sierpniu nieczynne.

---

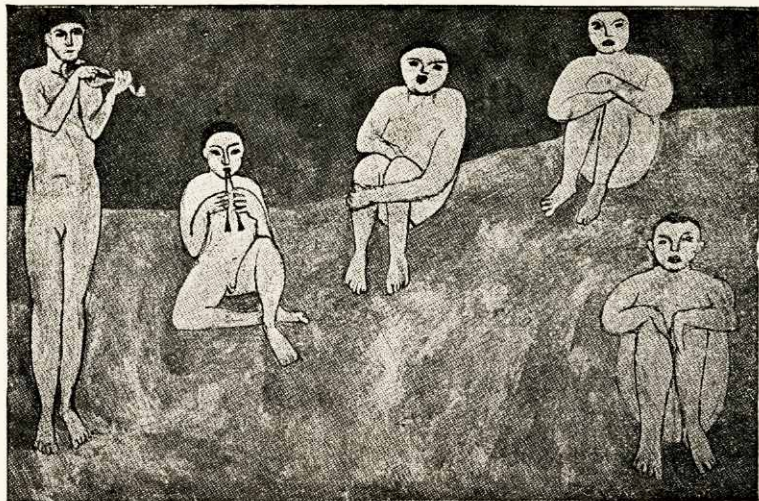
Prenumerata roczna (10 numerów) 5 zł., półroczna (5 numerów) 2 zł. 50 gr.

Należność uiszcza się zwykłym przekazem lub przekazem rozrachunkowym. Numer okazowy „Kamena” wysyłany tylko po uprzednim nadesłaniu 60 gr. przekazem lub w znaczkach pocztowych.

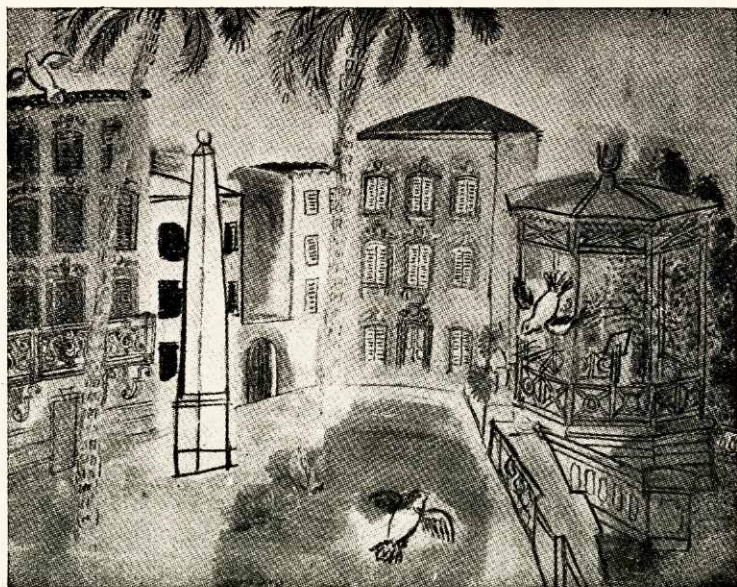
---

CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO 60 gr.

Tłoczono w drukarni „Kultura” Chełm Lub. 10.



MATISSE



DUFY

# K A M E N A

## MIESIĘCZNIK LITERACKI

---

---

ROK V      LISTOPAD--GRUDZIEŃ 1937 R.      NR 3-4 (43-44)

---

---

### OD REDAKCJI

Niniejszy podwójny zeszyt „Kameny“ poświęcamy w całości najnowszej literaturze francuskiej. Czynimy to przede wszystkim ze względu na jej wartość. Francja była i jest mózgiem i sercem świata i wszelkie przejawy jej życia artystycznego muszą nas interesować. Ale Francja jest również naszą wierną sojuzniczką, z którą od wieków łączy nas najszerszy sentyment. I ta myśl towarzyszyła nam także przy układaniu numeru.

Treść zeszytu pomyślana jest w sposób następujący: numer otwiera genialny hr. Lautréamont, obok Rimbaud'a drugi czołowy prekursor francuskiej literatury modernistycznej; za nim idą mniej więcej znani już na naszym gruncie przedstawiciele starszej generacji awangardy: Apollinaire, Salmon, Jacob, Cocteau, Reverdy, Fargue, Supervielle, Jouve i Tzara. Potem następuje księga trzecia „Les nouvelles nourritures“ Gide'a, a za nią grupa nadrealistów. A więc najpierw ich prawe skrzydło: Soupault i Desnos, „wyklęci“ przez prawowiernych surrealistów, których dalej reprezentują Breton, Eluard, Arp, Peret i Huguet. Ostatnia część zeszytu obejmuje poetów najmłodszych, u nas nieznanych zupełnie: Marc'a, Follain'a, Lacôte'a, Lannes'a, Le Louet'a, Manoll'a i Fraysse'a. Numer zamykają recenzje i noty informacyjne.

Wszystkim współpracownikom tego zeszytu, bez których pomocy nie mógłby się on ukazać, składamy najserdeczniejsze podziękowanie

## ZE ŚPIEWÓW MALDOLORA

\* \* \*

Jeżeli czasem prawa logiki łączą się z zewnętrzną stroną zjawisk, tutaj kończy się pierwszy śpiew.

Nie sądźcie zbyt surowo tego, który próbuje dopiero swej liry. Jeśli będziecie bezstronni, odkryjecie i lwi pazur wśród wielu niedociągnięć. Nikt nie może rozpocząć od arcydzieła. Rozwój musi postępować zgodnie z prawami natury. Oczywiście zabiorę się do pracy, żeby w najbliższym czasie wykończyć drugi śpiew.

Koniec XIX wieku ujrzy swego poetę.

Urodził się na wybrzeżach amerykańskich, przy ujściu Laplaty, tam, gdzie dwa narody rywalizujące niegdyś między sobą, teraz starają prześcignąć się wzajemnie w postępie cywilizacji i moralności.

Buenos-Ayres, królowa południa, i Montevideo, zalotnica, wyciągają do siebie przyjaźnie ręce ponad srebrzącymi się wodami wielkiej zatoki.

Ale wieczysta wojna zagarnęła pod niszczące panowanie wsi i zbiera radośnie plony licznych ofiar.

Żegnaj, starcze, i jeśli mnie czytałeś, pomyśl o mnie.

A ty, młodzieńcze, nie wpadaj w rozpacz.

W wampirze masz przyjaciela, chociaż myślisz inaczej.

Dodawszy powodującą parchy świerzbę, będziesz miał dwóch przyjaciół.

\* \* \*

Nikt nie będzie mnie widział w ostatniej godzinie, (piszę to na łożu śmierci), otoczonego księżmi. Chcę umrzeć kołysany falami wzburzonego morza, lub stojąc na szczycie skały... wpatrzony w niebo, nie: wiem, że moje unicestwienie będzie zupełne, łaski nadziei nie dostąpię i tak. Kto otwiera drzwi żalobnego pokoju? Mówiłem, żeby nikt nie wchodził. Odejdź, ktokolwiek jesteś! Nie łudź się, że zobaczysz jakiś ślad bólu i lęku na mej twarzy hieny, (używam tego porównania, chociaż hiena jest przyjemniejsza i nie tak szpetna jak ja). Zbliź się. Jesteśmy wśród nocy zimowej, kiedy żywioły nacierają na siebie ze wszystkich stron, kiedy mężczyznę ogarnia lęk, a młodzik obmyśla zbrodnię, którą chciałby popełnić na jednym z przyjaciół — jeśli jest taki, jak ja byłem w młodości. Niech wiatr, którego pełen skargi gwizd zasmuca ludzi, odkąd istnieją wiatr i ludzie, na chwilę przed skonem uniesie mnie na swych kościstych skrzydłach, ponad światem wyczekującym mej śmierci. Ostatni raz ucieszę się skrycie przykładami ludzkiej złości, (brat, który nie będąc widziany przygląda się czynom swych

braci). Orzeł, kruk, nieśmiertelny pelikan, dzika kaczka, żóraw przelotny, obudzone i drżące z zimna zobaczą, jak przelatują w blasku błyskawic, upiór okropny i rozradowany. Na ziemi żmija, wylupiaсте oko ropuchy, tygrys i słoń; w morzu wieloryb, rekin, ryba młot, bezkształtna raja i zęby polarnej foki zdziwią się temu zaprzeczeniu praw natury. Człowiek drżący wśród wycia przywrze czołem do ziemi.

„Tak, przewyższam was w okrucieństwie wrodzonym, którego zmazanie nie do mnie należy Czy dlatego padacie przede mną plackiem? Czy może dlatego, że widzicie we mnie nowe zjawisko, przerażającego kometę, który przebywa skrwawioną przestrzeń? (Z mego ciała spada krwawy deszcz, podobny czarniawej chmurze pchanej huraganem).

Nie lękajcie się, dzieci, nie będę was przeklinał. Krzywda, która została mi wyrządzona przez was, jest zbyt wielka, zbyt wielka jest krzywda, którą ja wam zrobiłem, żeby była umyślna. Słyszcie wszystkie swoją drogą, ja swoją, byliśmy sobie zbyt podobni i jednakowo przewrotni. Tak podobne charaktery musiały się zetrzeć. Wstrząs, który wyniknął z tego, dla mnie i dla was stał się fatalny“

Wtedy ludzie nabrawszy odwagi popodnoszą po trochu głowy; żeby zobaczyć, kto mówi do nich, powyciągają szyje jak ślimaki ze swych muszel. Nagle ich rozpalone twarze o rozluźnionych mięśniach, zdradzające okropne namiętności, wykrzywią się tak obrzydliwie, że przestraszą się wilki. Podniosą się do góry jak olbrzymia sprężyna. Wymyśli! Rozdzierające wrzaski! Poznali mnie. Oto zwierzęta ziemi zawarły pakt z ludźmi i raczą mnie dziwacznym jazgotem. Znikła wzajemna nienawiść; dwie nienawiści zwróciły się przeciw mnie, wspólnemu wrogowi; zbliżyło je powszechne porozumienie.

Wiatry, których się trzymam, unieście mnie wyżej; boję się podstępu. Tak, zniknijmy powoli z ich oczu. Jeszcze jeden świadek namiętności i konsekwencji: wystarczające uzupełnienie.

Dzięki ci, nietoperzu, że obudziłeś mnie ruchem skrzydeł, ty, na którego nosie sterczy grzebień w kształcie podkowy

Teraz choroba minęła i czuję z niesmakiem, jak odradzam się dla życia. Inni mówili że przyleciałeś wyssać tę trochę krwi, którą mam w ciele. Oby to przypuszczenie było rzeczywistością.

ISIDORE DUCASSE (COMTE DE LAUTRÉAMONT 1847—1870)  
(Les Chants de Maldolor)

przełożył Julian Rogoziński

## WINOGRODNIK SZAMPAŃSKI

Pułk dociera do wsi  
Więć już prawie usnęła pachnącym światłem zalana  
Książd ma na głowie kask  
Czy butelka szampana jest armatą czy nie?  
Winny szczep jak gronostaj na tarczy  
Dzień dobry dzień dobry żołnierze  
Widziałem ich jak przemijali i powracali biegiem  
Dzień dobry żołnierze butelki szampana fermentujące krwią  
Parę tu dni popasacie a potem pójdziecie na linię  
Ustawieni rzędami tak jak szcypy winne  
Wszędzie rozsyłam moje butelki niby pociski czarownych armat  
Noc jest płowa O płowe wino  
Winogrodnik śpiewał zgarbiony w winnicy  
Winogrodnik bez ust na horyzoncie ginął  
Winogrodnik który sam był butelką ognistą  
Winogrodnik który dobrze wie co to jest wojna  
Winogrodnik szampański który jest artylerzystą  
Teraz jest wieczór i gra się w pamiła  
A potem żołnierze pójdą sobie dalej  
Tam gdzie wystale swe butle otwiera artyleria  
W drogę Dowidzenia Wracajcie aby prędzej  
Lecz nikt nie może przewidzieć co będzie

GUILLAUME APOLLINAIRE (ur.1880—1918)  
przełożył Adam Ważyk

## SMUTEK GWIAZDY

Piękna Minerwa dzieckiem jest mego czerepu  
Po wsze czasy skrwawiona gwiazda wieńczy skronie  
Rozum u dna spoczywa u szczytu trwa niebo  
Głowy gdzie z dawna ostrzysz Bogini twe bronie  
Oto czemu wśród nieszczęść temu sprostać jeszcze  
Szparze zabójczej niemal co w gwiazdy rozpryska  
Lecz skryty ból karmiący uniesienie wieszczę  
Bardziej pali niż płomień O nie podchódź z bliska  
Tak żywię sobą boleść tę przepaszę z złotą  
Jak świetlik kiedy iskra rozżarza swe ciało  
Jako w sercu żołnierza Franja w niej dygota  
Jak z serca lilii białej unosi się chwała

GUILLAUME APOLLINAIRE  
przełożył Stefan Napierski

## EMIGRANT Z LANDOR ROAD

Wszedł z kapeluszem w rękę do modnego krawca  
Który samego króla był nawet dostawcą  
Ten kupiec właśnie odciął głowy manekinom  
Co w najnowszych ubraniach stały za witryną

Tłum we wszystkie się strony po ulicach kłębił  
Łącząc płacząc po ziemi bezmiłosne cienie  
I ręce czasem w górę w nieb jeziorne lśnienie  
Wzlatywały jak pary srebrzystych gołębi

Mój okręt jutro będzie pruł fale wysokie  
Ku łądom Ameryki skąd nie wrócę więcej  
By wśród drogich mi ulic włóczyć cień bezoki  
Z worem zdobytych w perriach lirycznych pieniędzy

Bo dobry dla żołnierza jest powrót z Bombaju  
Wszystkie złote orderki sprzedałem giełdziarzom  
I modnie wystrojony chciałbym spać pod strażą  
Drzew pełnych małp i papug gdzieś w zamorskim kraju

Już manekin dla niego zdejmuję ubranie  
Już przymierza je na nim i z kurzu wyciera  
Zmarły lord je zamówił nie zapłacił za nie  
I ze zniżką ubrano go jak milionera

A lata za witrą  
Patrzyły na wystawę  
Na biedne manekiny  
I dalej szły niemrawe

Wtrącone w roku bieg ach były dni to wdowie  
Piątki zbroczone krwią wlokące się bez siły  
Pogrzeby białych czarnych pod złych chmur ołowiem  
Kiedy gacha swojego diablca obila

Potem w porcie jesiennym gdzie wiatr liśćmi kręcił  
Gdy tłumy ręce również liśćmi zdały mu się  
Postawił swą walizkę na jakimś okręcie  
I usiadł

Oceaniczny wicher groźby nad nim jęczał  
Kładąc na włosach jego pocałunki słone  
Wychodźcy na pokładzie plakali na klęczkach  
I z łzami wyciągali ręce w portu stronę

Długo patrzył na ziemię konającą w dali  
Zabawkowe okręty drżały pod chmur cieniem  
Mały bukiet rzucony przez kogoś na fali  
Kołysząc się okrywał morze w krąg kwitnieniem

On by chciał ten bukietek wieść z sobą jak chwałę  
Na innych móż roztocza gdzie gonią delfiny  
I w pamięci wciąż myśli mu tkają  
Uporczywie wzorzystą tkaninę  
Przeszłości jego całej

Lecz by utopić te myśli zdradzieckie  
Owe prządki co wątki swe tkają boleśnie  
Zasłubił morze jak doża wenecki  
Przy syren niezamężnych uwodzającej pieśni

Ach puchnij w noc O morze Złych rekinów stado  
Do świtu czatowało na swój krwawy połów  
Na trupy dni przez gwiazdy pogryzione blade  
Wśród szumu fal i szeptu pożegnalnych modłów

GUILLAUME APOLLINAIRE  
spolszczył Kazimierz Andrzej Jaworski

## RZEŻ NIEWINIĄTEK

Ofiarowane samobójstwu dzieci,  
Czarne podwórza śmiech wasz brukiem garną,  
Spokojna warga, łza u powiek świeci,  
Biali, Miłością nawiedzeni czarna,  
Za świeczkę służą wam oczy kocura,  
Kiedy was kusi zakazana strawa —  
W książkach niewinnej rozpusty tortura  
Co was, maleństwa, wielkością napawa.  
A matki wasze w żarliwości szczerzej  
Nie szcędzą kar wam — gdzież są ich granice? —  
Pomyślnych tylko dla serc bohaterów,  
O dzieci brzydkie, piękne obietnicą  
Mrocznych zaślubin z ziemią kiedykolwiek,  
Idomeneju, Feliksie, Adolfie.

ANDRÉ SALMON (ur. 1881)  
spolszczył K. A. Jaworski



## ZAŁOŻENIE GMINY W BRAZYLII

Pod ipecaeaną i paproci splotem  
schwytano w ananasach trwożną antylopę.  
Zakonnik-kolorysta rzucił malowidła,  
okręcił stał i nie zwinął jeszcze swego skrzydła,  
sto lekkich schronów białą puszcę ukwiecało.  
A mniszki pracowały Jedna z nich płakała  
mając w liście do smutku wielkiego przyczyny.  
Zakonnik jakiś moszczem upijał się winnym  
i modlono się, aby przebłagać te grzechy.  
Ktoś wśród gałązek drzewa srogą rzeź wyczyniał,  
a bracia-koszykarze pletli z nich naczynia.  
Zbieg-galernik, co z łowów jedynie żył w puszczy,  
był już z ran uleczony, Bóg nań łaskę spuścił,  
bo stał się nagle świętym i przez wszystkich czczonym,  
bestie dłoń mu lizały, zwieszając ogony.  
A ptaki na niebiosach, zwierzęta na ziemi  
znosiły mnichom wszystko, co się wokół plemi.  
I wstawiono organy w niszę muru białą,  
stada cichych baranów kłosa obgryzały.  
Jeden mnich jest rymarzem, drugi gorzelnikiem,  
w niedzielę po nieszpórach bawią się zielnikiem.

Pozdrawiajcie mangowce, błogosławcie mango,  
flet ropuchy wam śpiewa swą pieśń za werandą.  
Dziwne kwiaty tu zdobią ołtarze w kościele,  
ich zapach na aniołów twarzy uśmiech ściele,  
ściąga sylfy i duchy złe w puszczy ponurej  
za ogrodzenia gminy kwadratowym murem.  
Oto raz o poranku, gdy jutrzienka krwawa  
czyniła chmurę czystsza, świeższą każdą trawę,  
las w miejscu, gdzie winorośl z cedrami się łączy,  
zdał się świerzbem dotknięty. Stał nęgr wśród pnączy.  
Potem dwaj, potem setka, już ich tysiąc słyhać  
i święty, co poskramiał srogich bestyj stado,  
z tłumem wściekłych oprawców nie dał sobie rady.  
Spadła głowa klasztoru na murawę cicho  
i dzieci oczyścili to miejsce od mnichów,  
a na śmierć obojętnie patrzył lazur bladej.

Tak i ja z niewinności i miłości zbroją  
kroczyłem naprzód pracą znacząc wciąż dni swoje,  
do Boga modląc się i wierząc w piękna wartość.  
Lecz śmiech okrutny świata i troski uparte,  
pieniądze i opinia, głupoty szkarada  
zrobiły mnie burzujem, co tu podpis składa.

MAX JACOB (ur 1876)  
spolszczył K. A. Jaworski

## ANIOŁ POKAZUJĄCY JĘZYK

Wrzeszcz, aniele, wrzeszcz głośniejsz, lecz nie tłumacz dłużej  
nie wysłucha policjant, co cię w sidła schwytał.  
W powybijanych szybach i szklanych kałużach  
twoja stopa ogromna została odbita.

Roztop się, śnieżny chłopczę, i leć swoją drogą,  
lecz jedną nogę w sidłach koniecznie nam zostaw.  
Policjant, pilnujący w klatce tylko nogi  
choć okaleczonej. Cóż za śmieszna postać!

JEAN COCTEAU (ur. 1892)  
przełożył Julian Rogoziński

## WZÓR UŚPIONYCH

Sen jest czarownym nocy wodotryskiem  
Kamieniejącym. A człowiek uśpiony  
Leżąc oparty na odległej dłoni  
Jest cichym głazem wśród barwnych połysków.  
Uśpiony człowiek jest waletem z karty,  
Bez wzrostu, wagi, bez fizycznych znamion,  
Od nas ucieka, snem o dal podparty  
Nieruchomieje jednym gestem ramion.  
Marzenia senne są łajnem uśpienia.  
Ludzie, co cicho składają je w mroku,  
Sieją w tej wodzie czarownej niepokój  
Myśląc, że one są głębią istnienia.  
(Czarowna woda wśród dziwnych kolorów  
Tłumaczy wygląd tak bardzo niezręcznie  
Przerysowany z antycznego wzoru  
Nagiej postaci ułożonej we śnie).

JEAN COCTEAU („Opera“)  
przełożył Zbigniew Bieńkowski

\* \* \*

Gdy oboje będziemy pod ziemską pokrywą  
Bardziej lub mniej głęboko,  
Ktoś będzie nas nieznanym sposobem odrywać  
Od wolnych ciał uroku.  
Pod ziemią albo ponad (tam już nasza mowa  
Nie ma wcale znaczenia)  
Nie będziemy o twarzach bezkrwiście surowych  
Słuchać się praw ciążenia.  
Wszystko stanie się inne, niepodobne do nas,  
Odmieni swoją wartość.  
A zapora snów ludzkich tak nieprzenikniona  
Dla nas będzie otwarta.  
Jeżeli umrę pierwszy, twoje sny zamieszkam;  
Poznam, jak to się działo,  
Że podczas mego spania, na pieszczoty ścieżkach  
Tyś kochanka zmieniała.

JEAN COCTEAU („Plain-Chant“)  
przełożył Zbigniew Bieńkowski

## PRECZ Z ZIEMIĄ

W swym domku ptak skulony i od deszczu mokry  
śpi, skrywszy głowę w piórach. Boga sobą okrył.  
Bóg w ptaki malowany, ptaki ma na twarzy,  
czasem za cieniem kraty na skrzydłach się waży.

P y t a n i a :

„Czy Bóg zna czy swe dzieło jaszczurki krętą rysą?  
„Czy burza i piorun są innym jego podpisem?  
„Jaki poemat kryje zebra w swoich pręgach?  
„Czy dać to cesarzowi, po co cesarz sięga?

Niebo ma swoje gwiazdy  
ziemia swe burdele.

Krzykiem, Jezusie, rozedrzyj zasłonę,  
Chrystusie w krzyków jaskółczych koronie  
zjaw się! Piorunem jasnym jak magnezji płomień  
spal tę ciżbę i porwij sprzed oczu człowieczych  
mą fotografię wieczną.

JEAN COCTEAU  
przełożył Julian Rogoziński

### ZAWSZE SAM

Czy dym wydostaje się z kominów czy z waszych fajek? Wolałem najciańniejszy kąt w tym pokoju, byle być sam. Otworzyło się okno naprzeciw. Czy przyjdzie? Nasze ramiona przerzuciły most nad ulicą — nikt oczu nie podniósł i domy się nachyliły. Kiedy stykają się dachy, niech nikt nie odważy się mówić. Strach przed krzykiem. Piece wygasają. Tak ciemno.

### POWIETRZE UMĘCZONE

Jest tak gorąco, że powietrze drga i każdy hałas staje się ogłuszający. Szczekają sfory dzikich psów. Krzyczące w otwartych oknach kobiety rywalizują z tą barbarzyńską fanfarą.

Zimno z trudem mogłoby ściąć słowa.

Jeśli ptaki milczały, jeśli umilkły kobiety, jeśli psy zdechły... Chwila i ogrody stanęły spokojne. Wszystko śpi. Lecz zaraz rozpocznie się znowu okropny hałas,

To pierwsze promienie słońca, na które każdy odpowiada gwałtownie. Kilka stworzeń niemych i przytłoczonych nie może mścić się ani protestować. Zagłusza je władczy hałas.

W dymach ponad dachami huśtałem mą głowę, jak grzechotkę bez grochu, uwiązaną na sznurku.

Bezgłośnie pędzi do chmur i słyszę szmer strumienia.

Niebo zeszło na ziemię, zamknięto okna, umilkły usta.

Liście opadły i ptaki już nie odważą się śpiewać.

Tak zimno.

Zima to cisza.

### O ŚWICIE

Ośrodkiem mego snu była głowa dziecka. Jeśli chmury zbiorą się nad twym dachem i nie spadnie deszcz, czy potrafisz zamilczeć o tym podwójnym cudzie?

Nikt cię nie woła. Jeśli wyjdiesz boso, zaziębisz się. Zresztą gdzie pójdiesz wązozami świateł?

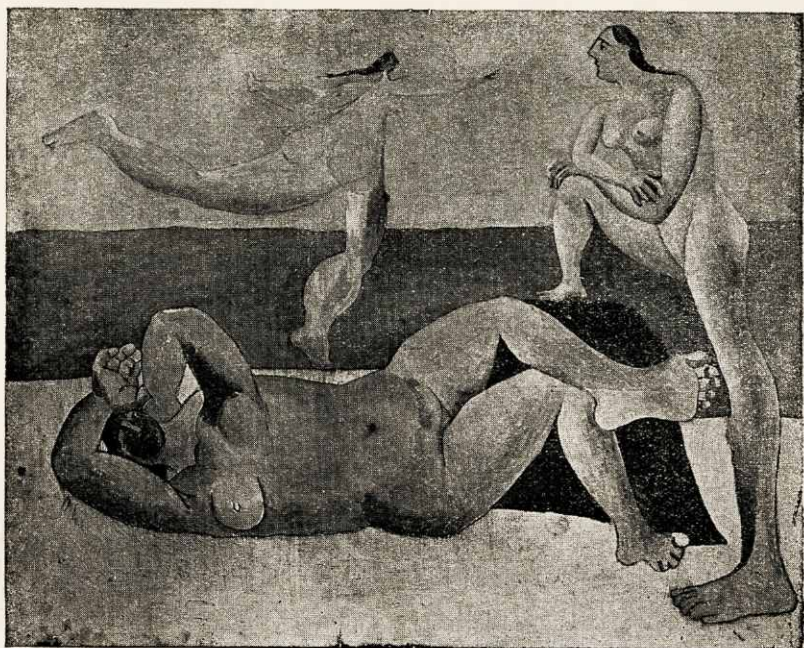
Łabędź milczący — podkurczone nogi — idzie na skrzydłach — znika. To był anioł i wstawał rano jeszcze bielszy.

### HAŁASY W NOCY

W chwili, kiedy przebiegały konie zadrzała wisząca lampa. Sufit pochylił się na prawo i mało nie spadł na nasze głowy — lecz okna pozostały w zgodzie z niebem i widać było tylko nocny krajobraz

W ruinach nie było już sów ani księżycy między drzewami, tylko komin fabryczny, naokoło domy o dachach, które rosły.

Konie uniosły galopem w noc furgon metalu.



P. PICASSO



P PICASSO

Mała laleczka, marionetka, maskotka zawieszona w oknie i szarpana przez wiatr. Deszcz zmoczył jej sukienkę.

Straciły kolor twarz i ręce. Odpadła nóżka. Lecz został pierścionek a z nim jej potęga.

W zimie stuka w szybę nóżką w niebieskim pantofelku i tańczy, tańczy z radości i z zimna, by rozgrzać serce — serce drewnianej kukiełki.

Nocą błagalnie wyciąga ręce do gwiazd.

(„Poèmes en prose“)

### POD CIEMNYM PTAKIEM

Niebo otwiera zawsze zachodnie oko, ziejące przepaścią, w którą rzucają się wszystkie przeznaczenia wielkiej miary

Uginają się firanki przewiązane w środku sznurem mnicha. Promienie nie mają innego ujścia. Jedyne. Mijanie czasu jest sprzecznością. I już nie wiadomo, czy to podnosi się ziemia, wieczór, czy księżyc odrywa się, żeby spojrzeć w inną stronę. Noc przychodzi walić skrzydłami w zgasłe szyby. Noc jest wrogiem spokoju śpiących. Wir nocy na horyzoncie snów.

### P Ł O M I E N I E

Woda i światło księżycy równo płynęły w oku. Ostatni przechodnie nocni ciągnęli swój cień po marmurze. Kolor miasał się z hałasem.

Z wysokiej krawędzi zбочa stoczyły się sny z błyskawicami.

Spustoszone pola, w których gubią się cienie i koń przesadza płot z iskier. Wstęga nocy przyczepia się do strzemion błękitnego jeźdźca.

Nieistniejący tłum wpada na chodnik po drugiej stronie ulicy, w sam środek blasków muru zmoczonego deszczem, za którymi uganiamy się urojone postacie z afiszów

### S P O Z A P O W I E K

W drzewie gwiazdy, obrazy i przewodniki elektryczne rysują błyskawice. W środku na nieruchomej chmurze tańczące postaci. Wokół światła nie potrącając o nie fruwa ręka śpiącego dziecka.

Na klęczkach mówi pacierz przed ogniskiem. I w nocy, kiedy wszystko zamienia się w ciemność: to jest wojna. Miasto, nad którym powygaszały dawne promienie: to jest wojna. Droga, wspinającą się na dach toczy się łóżko. I głowa trwa we śnie pełna muzyki dzwonów i marzeń o sławie.

## TAM ALBO TAM

Skrzydła uwięzione między zamkniętymi okiennicami. To olbrzymi ptak wyrывa się do ucieczki albo noc szarpie zawiasy Wiatr dmie silniej. Nie można ustać pomiędzy murami na chwiejącej się podłodze i wśród tańczących świeczników Pył powraca. Słysząc modlitwę. Ręce na bruku. Światło się cofa. I żeby uspokoić myśl oddalającą się w nieznanne, opada bardziej czyste powietrze.

Błyskawica przylega do powierzchni wszystkich mebli o twardych kantach. I z ciemnych kątów wypływają ożywione w zwierciadle fale kwiatów.

(„La balle an bond”)

PIERRE REVERDY (ur. 1889)  
przełożył Julian Rogoziński

## W Y Z N A N I E

Patrz! nimfa się obróciła  
W czerwonej soli jesieni.  
Poczwarka rozbiła dreszczem  
W wywarze oparu błędnym.  
Miasto! Jedno miasto jeszcze,  
Co ogląda poprzez przedzę  
Smolnym obliczem z płomieni,  
Jak mrówkojad gwiazdy łyka,  
I walczy, by miody zgasły  
Z motylem zmierzchów jasnym:  
W obłok obłok jego wnika.  
Płomień szumi na kominie,  
Patrz! roześmiały się kukły.  
Blask latarni morskiej bije,  
Na cieniu rozciągniętym płynie,  
Który jak nędzarz ucieka.  
Niegdyś, w samym sercu lata,  
Zatrzymałem się u progu  
†ustki, niezakrytej drzwiami,  
Tam pito, krążyły kufle,  
Śpieszne stąpania człowieka,  
Kostki, fałszywa zapłata,  
Sklepy poczwarne, przedmioty  
Straszliwe, trujące, mgliste,  
Przed których nazwaniem drżałem.  
Z wieczora, o zmierzchu szarym,  
Przed tą bramą potępioną  
Wstrzymałem się, skąd przeczyste  
Tony muzyki się plotły.  
Walilo serce. Skoczyłem  
Chyłkiem w wykrętne ustronie,  
Gdzie, zaledwie przesłonią,  
Skryta tajemnica płonie.  
Lecz przy końcu korytarza  
Cień przykucony ujrzałem:  
Czekała z mora beztwarza,  
Zwikhana w sieci pajęczej.  
Wzdłuż korytarza w rupiecicach,  
Od saków, gdzie kruki kraczą,  
W zaduchu stacji podmiejskiej,  
W trzasku miarowym żelastwa,

Wciąż wstrząsanego rozpaczą,  
Przez zgniłe jaje oparów  
I pod żreńcami szczebli,  
Odbijających ementarze,  
Gdzie sprzedawczyni dzienników  
Płacze syna w chustę z wełny:  
Piłem wzdłuż wszelkiej boleści  
Oddech piwniczny wagonów,  
Na stopniach, gdzie jeżdżą biedni,  
Którzy śpią w przydrożnym rowie,  
Wśród much i błota zagonów;  
A noc okapując zrzędzi.  
Jak oni, drogą cierniową  
Pnę się, dźwigam krzyż cierpienia  
I wciąż upadam na nowo,<sup>1</sup>  
Gdzie chromi, ułomni, święci.  
Łkam jak oni bez pamięci.

O, powróć. Zglądź niepokoje,  
Ocal biedne dziecię Twoje,  
Co łzami szlocha krwawemi.  
Pzemów z dna jezior, z głębin  
Lub z niebios, jeżeli one  
Zbudowane z szczątków ziemi.  
Jam lichy. A tyś jest wielki.  
Zgoda. Pod twoją obronę.  
Przyznaj, że ból mój wszelki  
Z żądzły wynikł, z grzesznej winy  
Widzisz, jam spokojny: ufam.  
Pozwól, abym zrzucił ciało.  
A piąć się będę szczeblami  
Prób wyzwolonego ducha,  
Przeniknę mgławicę białą,  
Gdzie wylegają się słońca,  
Kropłą ognia, kropłą błota,  
Aż tryśnie twarz Twoja złota.  
Bez Ciebie, srogiej słodyczy,  
Me życie snem jest sennaosi,  
Przez którą zjawy zbyt tkliwe  
Kuszą majakiem czułości.  
W mieście, które zwolna głuźnie,

Jak owoc, pełen szczyprawek,  
Przed murem, świecącym próchnem,  
Skąd widzę, jak śmierć się tłoczy,  
W spletanych gałązkach głowy,  
W pianie musującej słowa  
Na barłogu, gdzie rozbiaram  
Głony i wapno miłości.  
W dygocie, w którym mnie nurza.  
Strzał nad brzegiem, morska burza,  
Grom, który gości przelnika,  
Jako serce zbląkanego

Zwiastowanie wysłannika,  
Trzeba mi twojej, o, Panie,  
Wielkiej niesprawiedliwości.  
Bez niej jestem i bez Ciebie,  
Jak ktoś, kto nagle umiera,  
Nikt nie płacze na pogrzebie,  
Trup nieznanymi włosy w pocie,  
Zlepione na czole z miedzi,  
Co runął na ziemię nagą  
Wśród ciżby stłoczonej trwożnie.  
Nikt oblicza nie wysledzi.

LEON PAUL FARGUE (ur. 1878)  
przełożył Stefan Napierski

## W I E K

Dłonie świeże i oczy tak lekkie i kolor  
Strumieni jasných, nieba płynących szybkością...  
To, co nazywam jeszcze dzisiaj mą młodością,  
Kiedy niczyich uszu słowa te nie bołą,  
Kiedy nawet me serce wstydząc się tych czarów  
Udaje, że ogłuchło, przyspiesza swe bicie  
I pozbawia mnie żaru.

JULES SUPERVIELLE (ur. 1884 „Les Amis Inconnus”)  
przełożył Zbigniew Bieńkowski

## R Y B Y

Z głębi morskiej zatoki ryby pamiętane,  
Cóż chcecie, bym uczynił z waszych wolnych wspomnień,  
Wiem tylko, że tworzyście cień i mętną pianę  
I że do was śmierć kiedyś przyjdzie tak, jak do mnie.

Czemż się więc pytacie mojego marzenia  
Tak, jakbym mógł wam kiedyś przyjść z jakąś pomocą?  
Zostańcie w waszym morzu, dla mnie sucha ziemia,  
Los nigdy nie powiąże naszych dni i nocy

JULES SUPERVIELLE („Les Amis Inconnus”)  
przełożył Zbigniew Bieńkowski

## W Y M I A N Y

W cichej kałuży uspiętego świtu  
Ptaszęta nocy gasiły pragnienie,  
Aż padły wokół światłością zabite  
Gdy księżyc wydał swe ostatnie tchnienie.

Flamingi brzasku, z porannego lęgu,  
Wiją już gniazdo na promiennym drzewie  
Wiążąc starannie jedwab widnokregu  
Ze swoich skrzydeł poźłocistym wiewem.

JULES SUPERVIELLE („Gravitations”)  
przełożył Zbigniew Bieńkowski

## P E Ł N E M O R Z E

Wśród szybkich ptaków i księżyców białych,  
Co nawiedzają głębie móż nieznaných,  
Czego zostawia na powierzchni ślady  
Wezbrany żywioł oszalałej piany,  
Wśród ślepych świadectw, nieczłowieczych marzeń  
I bruzd podmorskich, nieczyich odgłosów,  
Wśród ryb tysięcy, co nie mają twarzy  
I kryją w sobie drogę własnych losów,  
Topielec szuka straconej piosenki,  
Której zawdzięcza czar swojej młodości.  
Na próżno słucha muszel cichych dźwięków,  
Kiedy je rzuca aż na dno ciemności.

JULES SUPERVIELLE („Gravitations”)  
przełożył Zbigniew Bieńkowski

## Z W I A S T U N   Ż R E N I C

Jawor kusi odpieczętowaną duszę. I prawdą jest, że bojowy alarm sztywnej kory przeciąga tamtędy. Także człowiek idąc w orszaku okruszyn, którymi otacza się jego hałaśliwość, chciałby się ich pozbyć: Lecz w takim razie dość już bałwochwalców kłaniających się aż do ziemi odmianom własnej hańby! Wyprostujcie się, spojrzcie opuszczone na płomienisko będące larwą buntów! I wy schlebiające dłonie, chude, oszukańcze dłonie, cóż znaczy wasza niecierpliwłość, potok huczy a radości leżące odłogiem podsłuchują pod drzwiami zboża rozkazu bojowego i dumy zabiegów. Nowe wspomnienie wspina się aż do wszechwładzy nad światem i kilka słów spadłych z warg wystarczy, by odtworzyć mityczne stada zapuszczające się w gardło rzezi. Wznoszące się od tej chwili pożądania usuną pnie głów w poszukiwaniu niemożliwych sposobów użycia.

Fanfara tulipanów na ulicznym wózku.

Samotności, samotności wysoka i jasna, namiętności twoich rozlicznych dek rezonansowych poświęcam tę kartę gorzką, w którą zapuszcza się przyszłość. Tam kąpie się łamacz lodów. Gdzie czuwa słoneczny popiół.

Już doliny rozbrzmiewają od dłoni złączonych w odnowionej przyjaźni palm. Lecz rzeka. Lecz zbyt wiele światła. Lecz krótkie rzenie. To o śmierci mowa,

TRISTAN TZARA (ur. 1896)  
przełożył Zbigniew Bieńkowski

### N A   B R U Ż D Z I E   S Ł O Ń C A

Zatopić poranki pragnienia muskuły i owoce  
w soku sekretnym i surowym  
sadza spleciona w złote sztaby  
skrywa noc poszarpaną na motywy krótkie

na odnowionym widnokręgu  
szeroka firanka wody bieżącej i żywej  
w drzwiach zniemacka oświetlonych  
skrzypi szczególny mnożnik  
mojej miłości

nekana za imieniami pożądań  
płacząca przyśpieszona rozedrgana  
opadasz sama z płatków na ofertę zebranych tonów  
niestałość wody ze słońcem ześlizguje się po twym ciecie

przez szparę w czasie można dostrzec maskę  
nigdy nie jest jasna nigdy nie jest nowa  
idziesz to życie wprawia korbę w ruch

i właśnie dlatego oczy krążą we własnym dławczegu  
przewaga krwi mimo krzyku mgły  
wachlarz płomieni na wulkanie, wiesz  
że żyłami grobu tyle pieśni zapału  
popłynęło na wyprawę

świat  
kapelusz z kwiatami  
świat  
skrzypce grające na kwiecie  
świat  
pierścień zrobiony dla kwiatu  
kwiat kwiatów na bukiet z kwiatów nad kwiaty  
papierośnica pełna kwiatów  
mały parowóz o oczach z kwiatów  
rękawiczki dla kwiatów  
ze skóry kwiatów jak inne kwiaty kwiaty kwiaty kwiatów  
i jaje

TRISTAN TZARA (De nos oiseaux)  
przełożył Julian Rogoziński



## T R A G I Q U E S

(fragment)

Nie ma wcale zwycięstwa,  
Jest tylko mroczna klęska,  
I cios morderczy w serce,  
I ciała w poniewierce.

Gardzę wami, nizezemni  
Królowie bydła, stali,  
Mnie zbrodnia wasza pali,  
Wieczność mówi przeze mnie

—  
Powiedzcie, nikt, nikt nie wie,  
Jaka istota szydereza  
Ukrywa się za śmiercią;  
Nikt nie wrócił ospały  
Z ciszy, by rzec: widziałem —  
Nikt.

A są tu upojeni  
Tym, że zabili, zabili śmiercią  
Więcej niż dziesięć milionów  
W błocie tysiąca batalii,  
Że będą znów zabijać śmiercią  
Wdeptani w muł po piersi

Są upojeni  
Tym, że stworzyli olbrzymią armię  
Biednych umarłych w rozkwicie,  
Którzy nie wstaną już nigdy  
Z otchłani, dokąd strąciły  
Ich kulomioty o świecie.  
I mówcie! Czy rewolucja  
Chciałaby nowych ofiar z życia?

PIERRE JEAN JOUVE (ur. 1887)  
spolszczył K. A. Jaworski

## G R A V I D A

Skalista droga ciemnymi krzykami usiana  
Aniołowie na straży ciężaru przeciągających  
kamieni nagich pod falami mroku  
szmaragdowa zieleń z pianami i krwią.

Jak pięknie. Śmierć wyśpiewa obraz smutnej  
płaszczyny, a nie ciepłą wieczoru pleć.  
Wzdraga się i nieskończenie oddala  
w kierunku dzikich okolic: tam zawsze  
pragnąłem żyć.

Tam trawa i gorzka granica, zapach lasu  
nawozu i lez i wzruszająca postać chłopca  
co zadrżał powtórnie, odkrywszy okrucieństwo  
brzucha, który  
słodczył był pierwszy raz.

## N A Z B O C Z U

Parując twardnijcie w kamień, tężejcie w lęg  
Wszystko tak nisko jest w niebie czystym  
Jak piękny jesteś! grobowiec cielesny  
kamienia rozdzierające usta.

Półknąc męzczyznę jak napój  
jest odwieczną żądzą kobiety  
i szmerem wody  
piramidą obłoków

PIERRE JEAN JOUVE („Sueur de sang Val étrange“)  
przełożył Julian Rogoziński

## J E L E Ń N O C Y

Tropić jelenia musicie w skupieniu  
Sekretnie pogrążony w żarze swej jedności  
odpoczywa przed świtem wsparty na kolanach  
śni bez technienia w gór gąszczu

Niespokojny wrażliwy, podstępny i straszny  
gotów na wszystko, niezbędny  
i słodki jak kobieta

To wy wkroczycie nadzy w wasze przeznaczenie

Z waszego przeznaczenia wynika przeznaczenie  
zwierzęcia niepojętego, zwierzęcia niewidzialnego  
zwierzęcia które nigdy nie zjawia się pierwsze  
w pełnych wrogości przestrzeniach

Waszej duszy myśliwy przekłęty  
wybiegł naprzód by jelenia duszę  
schwytać, bardziej naprzód niż trzeba  
i dusza zwierzęcia zwietryła już z oddali duszę myśliwego

Walka żeby się wyrwać kiedy susem boskim  
stajesz nagle na skale niewidzialnej!

Walce chytrej i zręcznej waszych pragnień  
kres kładzie dopiero kula.

Żeby kula trafiła w tajemniczy punkt  
będzie twym ostatecznym pragnieniem.

I całe twe przeznaczenie

odbije się w jelenia wzniosłym przeznaczeniu

Podczas gdy krew wynagradzać będzie cię tajemnie

PIERRE JEAN JOUVE („Sueur de sang”)  
przełożył Julian Rogoziński

## LES NOUVELLES NOURRITURES

(1935)

### K S I Ę G A T R Z E C I A

#### I

Ku rozkoszy zmierzają wysiłki całej natury. Przez nią wzrasta źdźbło trawy, rozwija się kiełek i pąk rozkwita. Ona przyspasabia do pocałunków promieni koronę kwiatową, zaprasza na wesele wszystko, co żyje, tępą larwę do lubieżnych przemian i z więzów poczwarki uwalnia motyla. Wszystko kierowane przez nią zmierza do najwyższego stanu szczęśliwości, do większego uświadomienia, do postępu... Dlatego właśnie znalazłem więcej wskazówek w rozkoszy niż w książkach; dlatego w książkach znalazłem więcej zaciemnienia niż jasności.

Nie było w tym rozwagi ani metody. Bez zastanowienia zanurzyłem się w ten ocean upojenia, zdziwiony że płynąc nie czułem się przezeń pochłonięty. W rozkoszy tylko cała nasza istota zdobywa świadomość siebie.

Wszystko to obyło się bez powziętego z góry postanowienia; po prostu zupełnie naturalnie oddałem się temu. Nasłuchałem się wiele o tym, że natura ludzka jest zła, lecz pragnąłem

ją zbadać. Zresztą przesycony byłem ciekawością poznania nie tak siebie samego, jak innych, albo raczej: pożądanie cielesne kierowało mnie ku czarownemu zamętowi i wypędzało mnie poza mnie,

Poszukiwanie jakiejś moralności wydawało mi się niepotrzebne, a nawet niemożliwe dopóty, dopóki nie wiedziałem, kim byłem. Zaniechałem poszukiwania siebie po to, ażeby odnaleźć się w miłości.

Należało na jakiś czas odrzucić wszelką moralność i nie opierać się pragnieniom. One same tylko były zdolne nauczyć mię. Ustąpiłem.

## S P O T K A N I A

Och! mówił mi ten nieszczęśliwy kaleka... oby chociaż raz tylko! Móc uścisnąć „kogokolwiek, bym płonął“, jak mówi Wergiliusz... Zdaje mi się, że po poznaniu tej radości łatwiej bym zrzekł się na zawsze chęci rozkoszowania się innymi, łatwiej poddałbym się śmierci.

Poznawszy raz, nieszczęsny, mówię doń, smak tej radości, pożądałbyś jej jeszcze bardziej. Poetę, jakim byś był, wyobraźnia w tych rzeczach dręczy mniej niż wspomnienie.

Czyż myślisz pocieszyć mnie w ten sposób? odpowiedział.

A jednak ile razy, już w chwili zrywania radości, nagle odwracałem się od niej tak, jakby uczynić mógł asceta.

Nie było w tym wyrzeczenia, lecz w wyczekiwaniu przeniknięcie tak doskonałe tego, czym ta szczęśliwość mogła być, przeżycie wszystkiego wyobraźnią tak pełne, że nie należało już oczekiwać urzeczywistnienia, (które nie mogłoby mnie już niczego nauczyć) wiedząc dobrze, że przygotowywanie rozkoszy zabezpiecza je jedynie pozbawieniem świeżości i że oczarowanie najcudowniejsze przejmuje całą istotę zjawieniem się niespodzianym. Ale potrafiłem przynajmniej wypędzić z siebie wszelkie niedomówienia, wstyd, powściągliwość przyzwoitości, wahania lęklive, które czynią rozkosz trwożną i skłaniają do wyrzutów sumienia po wyczerpaniu się ciała. Byłem zamieszkanym przez wiosnę wewnętrzną, której echem tylko wydawały mi się wszelkie odblaski, pączkowania i kwitnienia, jakie spotykałem na mej drodze. Płonąłem tak gwałtownie, że wydawało mi się możliwym udzielać mój żar każdemu napotkanemu tak, jak się daje ognia z papierosa, a pali się on jeszcze lepiej. Strącałem z siebie wszelki popiół. W spojrzeniach moich śmiała się miłość rozproszona, gwałtowna. Myślałem: dobroć jest tylko pro-

mieniowaniem szczęścia; i serce moje udzielało się wszystkim przez to, że było szczęśliwe.

Potem, później... Nie, to, co przeszło z wiekiem, nie było ani umniejszeniem pragnień, ani przesytem; lecz często, gdy wyczuwałem na moich chciwych wargach zbyt szybkie wyczerpanie się przyjemności, posiadanie wydawało mi się mniej cennym niż pościg i dochodziłem coraz bardziej do przekładania pragnienia samego nad ugaszenie jego, obietnicy rozkoszy nad nią samą, nad zadośćuczynienie niekończącej się przestrzeni miłości.

## S P O T K A N I A

Poszedłem go odwiedzić w tej wiosce Valais, gdzie rzekomo miał dochodzić do zdrowia, a gdzie w rzeczywistości przygotowywał się do śmierci, Choroba go zmieniała do tego stopnia, że z trudem go poznałem.

No i tak; źle jest ze mną; coraz gorzej, mówi do mnie. Każdy narząd zaraża się teraz, jeden po drugim: wątroba, nerki, śledziona... A kolano moje!... Przez ciekawość zobacz.

Uchylając do połowy przykrycia i wyciągając swą chudą nogę ku przodowi, odkrył coś w rodzaju ogromnej kuli w zgięciu stawowym. Pocił się tak bardzo, że koszula przyklepiona do ciała ukazywała jego chudość. Staralem się uśmiechnąć, ażeby ukryć smutek.

W każdym bądź razie wiedziałeś odrazu, że to się na długo zanosilo, mówię doń. Ale dobrze ci tu jest, prawda? Powietrze dobre. Pożywienie?...

Doskonale. I ratuje mnie to, że trawię jeszcze dobrze. Od kilku dni nawet przybysza mi na wadze. Gorączka spada. Och! na ogół jest mi stanowczo lepiej.

Grymas uśmiechu rozciągnął jego rysy i zrozumiałem, że być może nie stracił jeszcze całkiem nadziei.

Zresztą, patrz, wiosna, dodałem szybko zwracając twarz w stronę okna, gdyż łyzy, które chciałem ukryć, cisnęły mi się do oczu. Będziesz mógł umieścić się w ogrodzie.

Schodzę tam już na kilka chwil każdego dnia po południowym posiłku. Gdyż tylko obiad każę przynosić sobie do pokoju. Śniadanie staram się przyjmować na ogólnej sali i dotychczas tylko trzy razy nie udało mi się to. Potem jest trochę trudno wejść na drugie piętro; lecz nie śpieszę się: nie więcej jak cztery stopnie na raz, potem odpoczynek dla nabrania tchu. Na wszystko trzeba obliczać dobre dwadzieścia minut. Lecz przez to zażywam trochę ruchu; i jestem taki szczęśliwy po-

wracając nareszcie do łóżka. I to pozwala na sprzątnięcie mego pokoju. Lecz przede wszystkim ogarnia mnie lęk, by się nie poddać... Przeglądasz moje książki?... Tak, to są twoje „Nouritures Terrestres“. Nie rozstaję się z tą książeczką. Nie możesz nawet wiedzieć, ile pociechy i otuchy w niej znajduję.

Wzruszyło mnie to bardziej, niż wszelkie pochwały, z jakimi kiedykolwiek mogłem się spotkać; gdyż obawiałem się, wyznaję, że książka moja mogła liczyć jedynie na przychyłność mocnych.

Tak, mówił dalej, nawet w moim stanie, kiedy znajduję się w rozkwitającym ogrodzie, chciałbym jak F a u s t powiedzieć chwili, która mija: „Jesteś tak piękna!... Zatrzymaj się“ Wszystko wydaje mi się wtedy harmonijne, czarowne... Nęka mnie najbardziej to, że jestem sam jakby fałszywą nutą w tym koncercie, jakby plamą na tym obrazie... Tak chciałbym być piękny!

Umilkł na jakiś czas zapatrzony w błękit nieba, które widać było przez szeroko otwarte okno. Potem ciszej i zdawało się lękliwie:

Chciałbym bardzo, byś dał znać o mnie rodzicom moim. Ja już nie śmiem do nich pisać; a przede wszystkim mówić im prawdę. Na każdy list, jaki otrzymuje ode mnie, moja matka odpowiada mi, że skoro jestem chory, to dla mego dobra; że Bóg dla zbawienia mojego obdarza mnie tymi cierpieniami; że powinienem czerpiąc z nich naukę dążyć do doskonałości i że tylko wtedy zasłużę na uzdrowienie. Więc piszę jej niezmiennie, że jest mi lepiej, ażeby unikać tych rozważań, które wypełniają me serce bluźnierstwem. Napisz do niej ty.

Uczynię to jeszcze tego ranka, mówię doń biorąc jego wilgotną rękę.

Och! nie ściskaj tak mocno; boli.

Uśmiechał się.

## II

Literatura nasza, a w szczególności romantyczna, wychwalała, wychowywała, rozpowszechniała smutek; lecz nie ten smutek czynny i śmiały, który zmusza człowieka do najchlubniejszych czynów; ale jakiś flakowaty stan duszy, który nazywano melancholią, a który korzystnie okrywał bladeścią czoło poety i nostalgią przepelniał jego spojrzenie. Było w tym wiele mody i upodobania. Radość uchodziła za coś pospolitego, za oznakę zbyt dobrego i zbyt głupiego zdrowia. A śmiech wykrzywił twarz. Smutek dla siebie tylko zachowywał przywilej uduchowienia, a więc i głębi.

Ja, który przekładałem zawsze Bacha i Mozarta nad Beethovena, uważam za bluźnierczy tak wychwalany wiersz Musseta: „Najrozpaczliwsze pieśni są najbardziej piękne“ i nie uznaję tego, by człowiek pod razami przeciwności miał dać się powalić.

Tak, wiem, że jest w tym więcej postanowienia, niż odnawiania się przyrodzonego. Wiem, że Prometeusz cierpi uwięziony na Kaukazie i że Chrystus umiera na krzyżu, jeden i drugi za umiłowanie ludzi. Wiem, że wśród pół-bogów jeden tylko Herkules zachowuje na swoim czole zwycięską troskę pokonania potworów, hydr, wszystkich straszliwych sił, pod którymi ludzkość się ugiwała. Wiem, że wiele jest jeszcze smoków do zwalczania, jeszcze i może zawsze... Lecz w wyrzeczeniu się radości jest coś z klęski i jak gdyby z ustąpienia, z tchórzostwa.

Że człowiek do dzisiaj nie mógł osiągnąć dobrobytu, tego dobrobytu, który zapewnia szczęście, jak tylko kosztem innych, jak tylko umieszczając się na nich, oto do czego nie możemy już nigdy dopuścić. Jeszcze bardziej nie uznaję tego, by wielka liczba ludzi miała wyrzec się na tej ziemi tego szczęścia, które rodzi się z istoty harmonii.

Lecz to, co ludzie uczynili z ziemi obiecanej—z ziemi przyznanej... jest w stanie czerwienią wstydu okryć bogów. Dziecko łamiąc zabawkę już nie jest głupie, ani zwierzę, które trąca pastwisko, gdzie powinno znaleźć pożywienie, maci źródło, z którego bądzie piło, albo ptak kalający własne gniazdo. O, smutne okolice miast! brzydoto, nieładzie, smrodzie... Marzę o ogrodach, jakimi z odrobiną zrozumienia i miłości mogłybyście się stać, wstęgi dzielnic, troskliwą opieką wszystkiego, co tylko istnienie posiada najrozkoszniejszego i najczulszego — stłumiwszy najdrobniejszą nawet próbę zamachu kogokolwiek na radość wszystkich.

Marzę o tym, czym mogłybyście być, chwile wolne. O rozrywki uduchowione błogosławieństwem radości. I praca, praca nawet, odkupiona, uwolniona od bezbożnego przekleństwa.

Jakiż ewolucjonista przypuszczałby istnienie jakiegokolwiek związku między gąsienicą i motylem — gdyby nie wiedziano, że to jest ściśle ta sama istota. Pokrewieństwo wydaje się niemożliwe; a jest tożsamość. Wydaje mi się, że będąc przyrodnikiem skierowałbym ku tej zagadce wszystkie siły, wszystkie zapytania mego umysłu.

Gdyby dane było niewielu tylko ludziom widzieć te przemiany i gdyby one były rzadsze, może zadziwiałyby nas bardziej. Lecz ustaje zdumienie przed cudem nieustającym.

I to nie tylko kształt się zmienia; obyczaje popędy...

P o z n a j s i e b i e s a m e g o. Maksyma tak samo szkodliwa, jak szpetna. Ktokolwiek tylko obserwuje siebie, ten zatrzymuje swój rozwój Gąsienica, gdyby zmierzała do „całkowitego poznania siebie“, nigdy nie stałaby się motylem.

Poprzez różnorodność moją wyczuwam dobrze stałość; ta rozmaitość, którą w sobie czuję, jest zawsze mną. Lecz skoro dobrze znam i czuję istnienie tej stałości, dlaczego mam dążyć do jej osiągnięcia? Przez całe moje życie wzbraniałem sobie szukać poznania siebie; to znaczy: wzbraniałem poszukiwania siebie. Wydało mi się, że poszukiwanie to, albo ściślej jego pomyślny wynik, sprowadziłoby jakieś ograniczenie iubożenie istoty, albo że znalezienie i zrozumienie siebie osiągnęłyby tylko jakieś osobowości ubogie i ograniczone; albo raczej jeszcze: że osiągnięcie tego poznania siebie ograniczałoby istotę, jej rozwój; gdyż człowiek pozostałby już takim, jakim się znalazł, przez ciągłą troskę o to, by być podobnym do siebie i że lepiej było oddać się bezustannemu wyczekiwaniu, nieuchwytnemu wiecznie stawaniu się. Mniej mnie razi niekonsekwencja niż stanowcze postępowanie według pewnych zasad, niż silna wola pozostania wiernym sobie samemu; niż obawa zaprzeczenia sobie. Myślę zresztą, że niekonsekwencja ta jest tylko pozorna i że odpowiada ona jakiejś bardziej ukrytej ciągłości. Myślę również, że tutaj, jak wszędzie, zdania nas zwodzą, gdyż mowa narzuca nam logiki więcej, niż jest jej często w życiu; i że najbardziej cenne w nas jest to, co pozostaje niewyraźne.

### III

Niekiedy, często przez złośliwość, mówiłem o innych więcej złego, niż myślałem, a przez tchórzostwo mówiłem więcej dobrego, niż myślałem, o dziełach, książkach albo obrazach, z obawy, by źle nie usposobić do siebie ich autorów Niekiedy uśmiechałem się do ludzi, którzy nie wydawali mi się wcale zabawni, i udawałem, że znajduję dowcipnymi głupie powiedzenia. Nieraz udawałem ożywienie zabawą właśnie wtedy, kiedy zanudzałem się na śmierć, a nie miałem siły by odejść, gdyż mówiono mi: zostań jeszcze... Zbyt często pozwalałem rozsądkowi zatrzymać poryw mego serca. Natomiast wtedy, gdy serce me milczało, jakże często mimo to mówiłem. Niekiedy robiłem głupstwa, aby być chwalonym, Natomiast nie zawsze ośmielałem się robić to, co uważałem za swoją powinność, lecz wiedziałem, że nie powinienem był znaleźć uznania.

Żal „temporis acti“ jest najbardziej czcym zajęciem starca. Mówię to sobie; jednak ustępuję. Zachęcać mnie do tego wy, którzy tak cenicie ten przyrodzony żal niewyczuwalnie sprowadzający duszę z powrotem do Boga. Lecz mylnie pojmujecie istotę mojej żalości, moich wyrzutów sumienia. Gnębi mnie żal „non acti“, żal tego wszystkiego, co w młodości mojej mogłem uczynić, powinienem był uczynić, a czego wzbraniała mi wasza moralność; ta moralność, w którą nie wierzę już zupełnie; moralność, której z przekonaniem poddawałem się wtedy, kiedy mnie najbardziej krępowała tak, że dumie dawałem to zadośćuczynienie, którego odmawiałem mojemu ciału. Gdyż właśnie w wieku, kiedy dusza i ciało są najbardziej skłonne do miłości, najbardziej godne, by sięgać po miłość, by być kochane, kiedy uścisk jest najpotężniejszy, zaciekawienie najwyższe i najbardziej kształtujące, kiedy rozkosz jest największej ceny, właśnie w tym wieku dusza i ciało znajdują również najwięcej siły, by oprzeć się zachętom miłości.

To, co wy nazywaliście, co ja razem z wami nazywałem: p o k u s a m i, właśnie to wzbudza we mnie największy żal; i jeżeli odczuwam dzisiaj skruchę czegoś, to nie tego, że ustąpiłem kilku z nich, lecz że oparłem się tak wielu innym, innym które ściagałem później, wtedy gdy nie posiadały już tego dawnego czaru i były już mniej korzystne dla mojej myśli.

Boleję nad tym, że zaciemniłem moją młodość, nad tym, że wolałem złudę od rzeczywistości, że odwróciłem się od życia.

Och! wszystko to, czego nie zrobiliśmy, a co jednak mogliśmy byli zrobić... pomyślą w chwili, gdy będą opuszczać życie. Wszystko to, co powinniśmy byli uczynić, a czego jednak nie uczyniliśmy wcale: przez obawę rozważań, przez zwłokę, lenistwo i przez zbyt częste powtarzanie sobie: „Ba! będziemy mieli czas zawsze“. Przez to, że nie chwytałyśmy każdego dnia niezastąpionego, każdej chwili niemożliwej do odzyskania. Przez odkładanie na później postanowienia, wysiłku, uścisku...

Godzina, która mija, jest już miniona.

Och! ty, który przyjdiesz, pomyślą, bądź zręczniejszy: Żyj chwilą!

Umieszczam się w tym punkcie przestrzeni, który zajmuję, w tym ściśle określonym momencie trwania. Nie dopuszczam nigdy do tego, by przestał być krzyżowym. Wyciągam ramiona moje całą ich długością. Mówię: oto południe, północ... Jestem



skutkiem; będą przyczyną. Przyczyną wyznaczającą! Sposobność, która się nie powtórzy już nigdy. Jestem; lecz chcę znaleźć powód istnienia. Chcę wiedzieć, dlaczego jestem.

Obawa śmieszności skłania nas do najpodlejszego tchórzostwa. Ileż porywów młodzieńczych, ożywionych wiarą w pełnię własnego męstwa zostało przytłumione nagle tym jednym słowem „Utopia“ użytym na określenie ich przekonań i obawą, by nie uchodzić w oczach ludzi rozsądnych za żyjących mrzonkami. Tak jakby cały ogrom postępu ludzkości nie był urzeczywistnioną utopią! Tak jakby rzeczywistość jutra nie miała się zrodzić z utopii wczorajszej i dzisiejszej — jeżeli tylko przyszłość zgadza się, by nie być jedynie powtórzeniem przeszłości, czego przypuszczenie tylko mogłoby być zdolne do odebrania mi wszelkiej radości życia. Tak bez idei i możliwego postępu życie nie przedstawia już dla mnie żadnej wartości — i za swoje uważam te słowa, które użyczyłem Alissie w mojej „Porte Étroite“:

„Nie mogłabym pożądać stanu najdoskonalszego nawet, jaki mógłby być, bez postępu... i odwróciłabym się od radości, która nie byłaby p o s t ę p o w ą“.

Niewiele jest potworów, które zasługują na strach, jaki nas wobec nich ogarnia.

Potwory zrodzone przez lęk — obawa nocy i obawa jasności; obawa śmierci i obawa życia; strach przed innymi i strach przed sobą; strach przed diabłem i strach przed Bogiem — nie będącicie już nas zwodzić. Lecz żyjemy jeszcze pod panowaniem straszyleł. Któż to powiedział, że bojaźń Boga była początkiem Mądrości. Nierozważna mądrości, prawdziwa, zaczynasz się tam, gdzie się kończy bojaźń, i ty nas uczysz życia.

Nieść, gdzie tylko można, ufność, swobodę i radość, stało się wkrótce wymaganiem moim i zabezpieczeniem mojego niezbędnego szczęścia. Tak jakbym tylko ze szczęścia bliźniego był zdolny stworzyć swoje własne, nie znając już innego siebie jak tego tylko, którym mogłem rozkoszować się przez sympatię i przez zlecenie, że tak powiem. I przez to samo zniechęciłem wszystko to, co mogło stać na przeszkodzie szczęściu: nieśmiałość, zniechęcenie, niezrozumiałość, oszczerstwa, pobłażliwy obraz urojonych strapień, czcze pożądanja nierzeczywistości i podziały na partie, klasy, narody albo rasy i wszystko to, co zmierza do uczynienia z człowieka nieprzyjaciela samego

siebie lub bliźniego, siew niezgody, ciemnienia, onieśmienia, niesprawiedliwości.

Wiewiórka nie uznaje pełzania żmii. Zając ucieka, kiedy żółw cofa się do swojej skorupy i jeź zwija się w kłębek. Odnajdziesz całą tę różnorodność u ludzi. Przestań więc wyśmiewać to, co się różni od ciebie. Społeczność ludzka mogłaby być doskonała tylko wtedy, gdyby zapewniła zastosowanie wielu form działania, gdyby sprzyjała zakwitaniu wielu postaci szczęścia.

Stali się moimi osobistymi wrogami: wszyscy, którzy zaciemniają, osłabiają, gorszyciele, wstecznicy, leniuchy i błazny.

Nienawidzę wszystkiego, co umniejsza człowieka; wszystkiego, co usiłuje go uczynić mniej mądrym, mniej ufnym i mniej prędkim. Gdyż nie zgadzam się z tym, że mądrości towarzyszą zawsze powolność i nieufność. Dlatego też właśnie uważam, że często więcej jest mądrości w dziecku niż w starcu.

Ich mądrość?.. Ach! lepiej od mądrości ich nie spodziewać się wiele.

Polega ona na tym, by żyć możliwie najmniej, nie ufając niczemu, wystrzegając się wszystkiego.

W radach ich jest zawsze coś z czerstwoty, z zastoju.

Podobni są do niektórych matek ogłupiających zaleceniami swoje dzieci:

— „Nie huśtaj się tak mocno, sznur się zerwie;  
Nie stój pod tym drzewem, piorun strzeli;  
Nie chodź tam, gdzie jest mokro, poślizniesz się;  
Nie siadaj na trawie, bo się poplamisz;  
W twoim wieku powinieneś być rozsądniejszym;  
Ileż razy trzeba ci powtarzać:  
Nie kładzie się łokci na stole...  
To dziecko jest niemożliwe!“  
— Ach nie tak, jak pani.

Jednocześnie niespodziewana i bardzo oczekiwana; porównywanam radość do tej szerokiej dzieży świeżego mleka, którą kiedyś, o zmierzchu oszałamiającego upału, po całodziennej podróży w suszy, znaleźliśmy w miejscu przeznaczonym na nocleg. Nie widzieliśmy mleka już od tygodnia, gdyż kraina przez któ-

rażą przejeżdżaliśmy wtedy, straszliwie spustoszona przez śpiączkę nie mogła być odpowiednią dla bydła. Lecz nie domyślając się niczego od kilku godzin znajdowaliśmy się w okolicach ochronionych, gdzie hodowla była możliwa; i gdyby trawy nie były tak wysokie, albo gdybyśmy z wierzchowców naszych mogli sięgnąć wzrokiem wyżej, moglibyśmy tam i sam rozpoznać stada w gąszczu. I wieczoru tego nie spodziewaliśmy się ugasić pragnienia niczym innym, jak ciepłą i podejrzaną wodą, którą z przezornością przegotowalibyśmy najpierw, a której bagienny smak przebijaliby się poprzez barwnik alkoholu lub wina; wymuszone zadowolenie poprzednich dni. Lecz wieczoru tego w cieniu chaty z jakimś zachwytem odkryliśmy tę dzieżę pełną świeżego mleka, które wydojono dla nas. Delikatna warstwa szarego piasku przyćmiła jego powierzchnię. Kubkami naszymi rozerwaliśmy ten kruchy film, a pod nim mleko zdało się rzeźwością i świeżością niweczyć wszystkie żar dnia. Pomimo jego bieli wydawało nam się, że pijemy cień, spoczynek i wzmocnienie.

ANDRÉ GIDE

autoryzowany przekład Zbigniewa Bieńkowskiego

## RĘCE ZŁOŻONE

Na niebie dym ogromnych parostatków  
a na ziemi tego wieczoru człowiek pisze  
przy świecy  
wiecznym piórem Watermana  
Myśli o szarych ptakach  
o tęsknych walcach szarych ptaków  
o krajach nieznanych  
tak jak się myśli o śpiącym psie  
Wie dużo rzeczy nienazwanych  
na ziemi i w niebach  
z których odlatują wielkie parostatki  
Drzewa żądają ciszy i deszczu  
Człowiek pisze przy świecy  
przy śpiącym psie  
i myśli o księżycu  
i myśli o dobrym Bogu  
Są także motyle małe reklamy raju  
domu wytworknie ubranych aniołów  
właścicieli eleganckich lasek  
i wielkich aut, smukłych prostych cichych  
Aniołowie są przyjaciółmi którzy  
zapytywani o radę przy kupnie krawata  
melancholijnie odpowiadają  
wybierz krawat koloru twych oczu  
Aniołowie nikną w płomieniach świec  
zostają tylko drzewa  
zwierzęta, które się kryją  
i oczywiście są zapomniane  
Zacne zwierzęta wiedzą, że cisza jest prawem  
o tej godzinie zuchwałej nocy  
o tej godzinie kiedy modlitwy  
i piosenki schodzą z bawełnianych drabin  
O tej godzinie widać jeszcze oczy

nieruchome jak para Serafinów  
oczy które zgasnąć nie chcą  
Aniołowie Paryża pożyczcie mi skrzydeł  
pożyczcie mi palców  
pożyczcie mi rąk  
Jak długo mam jeszcze spać  
z głową cięższą niż grzech?  
Czy mam umrzeć bez krzyku  
w ciszy, której żądają drzewa  
przy świecy  
przy śpiącym psie?

PHILIPPE SOUPAULT („Georgia“ 1926)  
przełożył Julian Rogoziński

## N O W Y R O K

Stoję jak żebrak przed tobą  
małe światło  
mniejsza gwiazdo nocy  
świecie  
wszechświecie dwojga oczu  
brudzi cię modlitwa moja  
diamencie  
kropło mleka  
o zwiędka!  
Jestem przed tobą  
mówisz o dniu  
o przyszłości  
tej wielkiej krainy  
rozpostartej między twymi ramionami  
Jesteś tylko iskrą czasu  
jedyną sekundą  
i noc  
ucicha w klęsce

PHILIPPE SOUPAULT („Etapas de l'enfer“ 1932-34)  
przełożył Julian Rogoziński

\* \* \*  
Nic prócz światła które twe ręce  
sieją  
nic prócz płomienia i oczu twoich  
tych pól i żniwa na twej skórze  
nic prócz upału twego głosu  
nic prócz pożaru  
i prócz ciebie

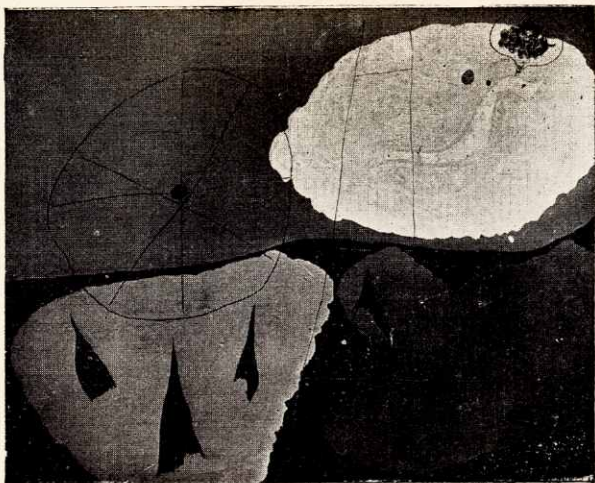
Bo jesteś wodą która śni  
i trwa w uporze  
wodą drażącą wodą świecąca  
wodą łagodną jak spokojny wiatr  
wodą która śpiewa  
wodą radości i twych łez

Samotna którą pieśni ścigają  
szczęśliwe pieśni ziemi i nieba  
silna i żywa w tajemnicy  
zmartwychwstała  
wreszcie nadeszła twa godzina  
twe lata

PHILIPPE SOUPAULT („Sang-joie-tempête“ 1934-37)  
przełożył Julian Rogoziński

## E P I T A F I A

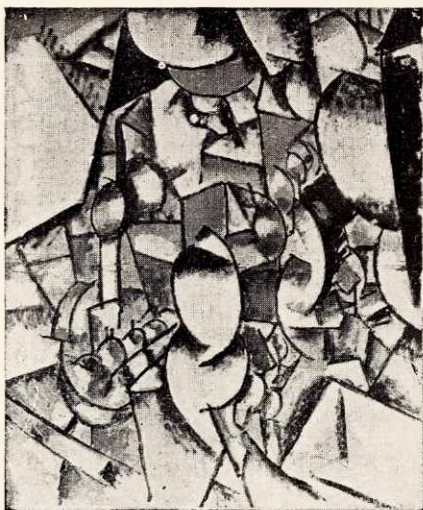
D L A E L U A R D A  
Zabierz do nieba rękawiczki i laskę  
trzymaj się prosto  
oczy zamknięte



1926 J. MIRO



G. BRAQUE



1912 F LÉGER

chmury z bawełny są tak daleko  
i ty odszedłeś bez pożegnania  
Deszcz pada  
Deszcz pada  
Deszcz pada

#### DLA TRISTANA I ISOLDY

Kto tam  
Nie uściskałeś mi nawet dłoni  
bardzo się śmiano z wiadomości o twojej śmierci  
wszyscy się bali, że będziesz żył wiecznie  
Twoje ostatnie technienie  
i uśmiech ostatni  
żadnych kwiatów  
żadnych wieńców  
po prostu małe samochody  
i pięciometrowe motyle

#### DLA BRETONA

Dobrze widziałem twoje spojrzenie  
kiedy oczy zamykałeś  
zabroniłeś mi się martwić  
mimo to bardzo płakałem  
Nie powiesz już ani słowa  
mimo wszystko mimo wszystko  
Do twojego łóżka przyszli anieli  
ale nic nie powiedzieli  
Jak pięknie umierać  
Jak musisz śmiać się samotny  
kiedy cię nikt nie widzi  
twoja łaska stoi w kącie  
Tylu ludzi przyniosło kwiaty  
wygłoszono nawet mowę  
a ja nic nie powiedziałem  
tylko myślałem o tobie.

PHILIPPE SOUPAULT  
przełożył Julian Rogoziński

#### SZMINKA ARGONAUTÓW

(fragment)

Siostry dziwek marsylskich siedzą w oceanach.  
Uściskami chorymi owróżdzą wam ciała.  
W ciemnym szynku portowym basetla cygana  
morskim szumom i zgubie będzie wtórowała.

Marynarze śpiewając pieśni nostalgiczne  
odpłynęli galerą i na czarnej chmurze.  
Czy myślicie, że sistrum lub skrzypce magiczne  
zaczarują żeglarzy, gdy gotowi stchórzyć?

Legenda drzemie wyniosła i przestarzała  
w żalobnym bronzie, który stał się tronem  
przeszłości. Dawno odjechała  
Argonautów wyprawa zdobyć wschodnie runo.

Z waszych grobów wyrosną podejrzone grzyby.  
o których śpiew Nerona gładko się potoczy  
na Klaudiańskiej orgii. Albo wasze oczy  
znajdzie kuchcik występny w brzuchu morskiej ryby

W drogę! Harfo Eola zawyją razem z burzą...

ROBERT DESNOS  
przełożył Julian Rogoziński

Podróżniczka która przechodziła przez Hale u schyłku lata  
 Szła na palcach  
 Rozpacz pod niebem toczyła swe wielkie arony tak piękne  
 I w ręcznej torebce znajdowało się marzenie moje ten flakon z solami  
 Których wonią oddychała jedynie chrzestna matka Boga  
 Drętwota układała się jak para  
 W karczmie Pod Psem który pali  
 Gdzie właśnie weszły za i przeciw  
 Młoda kobieta mogła być przez nie widziana tylko źle i z ukosa  
 Czyż miałem do czynienia z ambasadorką saletry  
 Czy też białej fałdy na czarnym tle nazywanej przez nas myślą  
 Bal niewiniątek odbywał się w najlepsze  
 Lampiony zapalały się wolno w zieleni kasztanów  
 Pani bez cienia ukłękła na Moście Kupieckim  
 Na ulicy Zamarłe Serce dźwięki nie były już te same  
 Noce dotrzymały nareszcie swych obietnic  
 Pocztowe gołębie pocałunki ratunku  
 Łączyły się na piersiach pięknej nieznamojemj  
 Na piersiach przestrzelonych pod krepą doskonałymi znaczeniami  
 Ferma rozwijała się pomyślnie w środku Paryża  
 I okna jej wychodziły na mleczną drogę  
 Lecz nikt jej nie zamieszkiwał z powodu żywych zjaw  
 Które były jeszcze bardziej przywiązane niż duchy  
 Jedni jak ta kobieta wydają się płynąć  
 I do miłości wchodzi trochę ich zawartości treściowej  
 Ona przenika ich od wewnątrz  
 Ja nie jestem zabawką żadnej potęgi zmysłowej  
 A jednak świerszcz śpiewający we włosach z popiołu  
 Pewnego wieczoru koło pomnika Stefana-Marcelego  
 Spojrzał na mnie porozumiewawczo  
 André Breton powiedział przechodź.

ANDRÉ BRETON

przełożył Zbigniew Bieńkowski

\*) Usiłując poemat ten z dokładnością umiejscowić w czasie, myślę, że mogę się upewnić, że powstał on w maju lub czerwcu 1923 w Paryżu. Byłoby dla mnie nieodzownym odnaleźć jego rękopis, być może datowany, lecz jest on prawdopodobnie w posiadaniu osoby, od której wypożyczenie jego sprawiłoby mi przykrość. W szczególności niezwykle cenną byłaby dla mnie wiadomość, czy nie zawiera on żadnych poprawek, gdyż w umyśle pozostało jeszcze wahanie, które musiało się zrodzić we mnie w chwili umieszczania niektórych słów. Wydaje mi się zupełnie pewnym, że dwie albo trzy poprawki zrobiłem w wersji oryginalnej zaraz po napisaniu, a to w chęci ostatecznie jakże godnej pożalowania — stworzenia całości bardziej jednolitej, w chęci ograniczenia części bezpośrednio niejasnej, pozornie dowolnej, którą znalazłem taką po pierwszym czytaniu. Poemat ten uważałem zawsze za napisany pod wpływem rzeczywistego natchnienia w tym, co dotyczy akcji całkowicie spójnej jaką zawiera, lecz natchnienie to oprócz ostatniej części „Słonecznika” nigdy nie wydawało mi się płynąć bez jakichś zgrzytów i trudności w wyszukiwaniu słów. Pod względem ekspresji tekst ten przedstawia moim oczom, mojemu słuchowi miejsca słabe i luki. Lecz cóż powiedzieć o moich wysiłkach późniejszych, by temu zaradzić? Dzisiaj przekonywam się bez rozgoryczenia o jego całkowitym niepowodzeniu. Działalność krytyczna, która poddała mi tu a posteriori myśl pewnych podstawień albo dopowiedzeń słownych, skłania mnie teraz do uważania tych poprawek za błędy: one w niczym nie ułatwiają czytelnikowi, przeciwnie, jeżeli sprawiają coś, to tylko uszczerbek autentyczności. Wezmę na przykład kilka z tych niewielkich zmian (zadowolili mnie tak mało, że trwając przed moim wzrokiem po trzynastu latach jako plamy nie do zmazania): wprowadzenie dopełnienia przez nie pomiędzy być i widzia a w dziewiątym wierszu, zastąpienie z białą fał-

dą przez białej fałdy na początku jedenastego. Również nie ukrywa tego, że słowo przywiązane jest w 23-cim wierszu na miejscu jakiegoś innego (być może słowa groźne, w każdym bądź razie na miejscu jakiegoś słowa, którego pióro wzbroniło się napisać pod pretekstem wywołania uczucia lęku obok słowa duchy; przywiązane, w każdym razie, jest tutaj pozbawione wszelkiej zawartości, jest przymiotnikiem sztucznym. Lepiej byłoby postawić w tym miejscu trzy kropki). Uczyniwszy te drobne zastrzeżenia myślę, że mogę zestawić zdarzenie czystej wyobraźni zawarte w ramach tego poematu i spełnienie późniejsze, lecz jakże przejmujące przez swoją całkowitą dokładność, tego zdarzenia na planie życia. Rozumie się samo przez się, że pisząc poemat „Słonecznik“ nie byłem podtrzymywany przez żaden obraz dawniejszy, który by wpływał na kierunek bardzo szczegółowy, kierunek w którym tu zmierzałem. Nie tylko „podróżniczka“, „młoda kobieta“, „pani bez cienia“ była dla mnie wówczas istotą bez twarzy, lecz nawet w związku z rozwiązaniem szczegółów okolicznościowych poematu byłem pozbawiony wszelkiej podstawy orientacyjnej. Najprawdopodobniej końcowy nakaz bardzo tajemniczy nabrał w moich oczach znaczenia dużej wagi i bez wątpienia dzięki niemu, jak również trochę dzięki drobiazgowemu charakterowi opowiadania o pewnej rzeczy, która się jednak nie stała, poemat uważany przeze mnie długo za bardzo mało zadawalający nie uległ, jak tyle innych, natychmiastowemu zniszczeniu.

(z tomu „L'amour fou“ 1937)  
 przełożył Zbigniew Bieńkowski

## DENISE DISAIT AUX MERVEILLES:

Wieczór włóczył jaskółki. A skrzydła puszczyka  
 Dzieląc blaski słoneczne ciążyły na ziemi,  
 Jak nigdy niestrudzone krokisa motnika  
 Bledszego od natury wśród uspionych cieni.

Wieczór na głowach naszych włókł białe oręże.  
 Wśród nas kobiety spalał męstwa ogień święty,  
 Płakały i krzyczały jak dzikie zwierzęta,  
 Aż na kolana padli niespokojni męże.

Wieczór, nic i wśród ciszy jaskółcze przeloty,  
 Lekki powiew i liście wiszące nad ziemią,  
 Piękny szczegół i czary pozbawione cnoty  
 Dla spojrzenia, co nigdy nie pojmie przestrzeni,

PAUL ELUARD („Capitale de la Douleur”)  
 przełożył Zbigniew Bieńkowski

## Z W I E R C I A D Ł O C H W I L I

Rozprasza dzień,  
 Ludziom wskazuje obrazy uwolnienia od prawdopodobieństwa,  
 Odbiera im możliwość swobodnego istnienia.  
 Jest twarde jak kamień,  
 Kamień bezkształtny,  
 Kamień ruchu i spostrzegania.  
 A blask jego jest taki, że wszystkie broje, wszystkie maski są w nim  
 fałszowane.

To co dłoń ujęła gardzi nawet przyjęciem formy dłoni,  
 To co zostało zrozumiane nie istnieje już,  
 Ptak zmieszał się z wiatrem,  
 Niebo ze swoją prawdą,  
 Człowiek z rzeczywistością.

PAUL ELUARD („Capitale de la Douleur”)  
 przełożył Zbigniew Bieńkowski



## RÓWNOŚĆ PŁCI

Wróciły z dowolnego kraju twoje oczy.  
Z kraju, gdzie nikt nie poznał wartości spojżenia  
Ani piękności oczu, piękności kamieni,  
Piękności kropel wody, perłowej roztoczy,

Bezkostnych, nagich głazów, posągu mój miły,  
Oślepiającym blaskom stałeś się zwierciadłem  
I w twojej szczelnej głowie jest wieczornym siłom  
Posłuszne słońce nawet, posągu upadły,

Strącony mej miłości chytrym, dzikim buntem.  
Żądza ma nieruchoma jest twoją podporą,  
Porywam cię bez walki, o mój wizerunku,  
Świadomy mej słabości, w niewolę cię biorę.

PAUL ELUARD  
przełożył Zbigniew Bieńkowski

## RÓWNOŚĆ OBOJGA PŁCI

Powróciły twe oczy z samowładczych dziedzin,  
Gdzie nikt nie pojął nigdy, co zwiemy wejrzeniem,  
Nie zaznał piękna źrenic, pereł równych śniedzi,  
Nie śledził kropel rosy, nie drżał nad kamieniem;

Głazem nagim, bez kośćca, o, moja statuo,  
Słońce oślepiające jest ci za zwierciadło,  
A, jeśli zda się, jakby o zmierzchu poblądło,  
To, że czerep twój zwarty, nieczuła statuo.

Przez mą miłość, tę chytrą zaklinacza węży.  
Ostatnim twym oparciem ma chuć nieruchoma,  
Unoszę cię bez walki ramionami dwoma,  
Wplecioną w słabość moją i pojmaną w więzy.

PAUL ELUARD („Capitale de la Douleur”)  
przełożył Stefan Napierski

## P O D R Ó Ż C I S Z

z cyklu „Premièrement”

Podróż ciszy  
Od moich dłoni ku twoim oczom

I we włosach twoich  
Gdzie dziewczęta z łożyny  
Opierają się plecami o słońce  
Poruszają wargami  
I pozwalają czterolistnemu cieniowi  
Zająć swe serce ciepłe od snu.

PAUL ELUARD („L'amour la Poésie”)  
przełożył Zbigniew Bieńkowski

## OSĄD PIERWORODNY

(fragment)

Nie czytaj. Przypatruj się białym figurom, jakie rysują  
odstępy oddzielające słowa wielu linii i czerp z nich natchnienie.

Sięgnij znów po zbroję, którą porzuciłeś w wieku doj-  
rzałym.

Formuj twoje oczy zamykając je.

Snom, których zapomniałeś, daj wartość tego, czego nie znasz.

Nie przygotowuj słów, którymi krzyczysz.

Mieszkać w domach opuszczonych. One były zamieszkane tylko przez ciebie.

Pieszczotom twoim uczynić posłanie z pieszczot.

Jeśli pukają do twych drzwi, pisz ostatnią twą wolę kluczem.

To, co znajdujesz, należy do ciebie tylko wtedy, kiedy twoja ręka jest wyciągnięta.

Ty jesteś ogrodnikiem swego życia.

Pozwól niech świt podpali rdzę twoich snów.

Zapał widnokrąg przyszłego zmęczenia.

Zrób im niespodziankę i nie popłacz czasu przyszłego słowa mieć z czasem przyszłym słowa być.

Temu, kto chce zobaczyć wnętrze twojej dłoni, pokaż nieodkryte planety na niebie.

Ażeby odkryć nagość tej, którą kochasz, przyjrzyj się jej dłoniom. Jej twarz jest schylona,

Przypatrz się kwiatowi powoju: — on nie pozwala słyszeć.

Uchwycić bez zmrużenia powiek możliwe pojęcie jaskółek.

Pisz niezniszczalnie na piasku.

Nie zapomnij powiedzieć rewolwerowi: — Bardzo mi miło, ale zdaje mi się, żeśmy się już gdzieś spotkali.

Obserwuj światło w zwierciadłach ślepców.

Czy chcesz mieć najmniejszą i jednocześnie najbardziej niepokojącą książkę świata? Opraw znaczki pocztowe twoich listów miłosnych i płacz, i to mimo wszystko nie bez powodu.

Nigdy nie oczekuj siebie.

Lękaj się przechodzić zbyt blisko tapet wtedy, gdy jesteś sam i słyszysz, że cię wołają.

Swoboda twoja, z jaką sprawiasz, że śmieję się do łez, jest twoją swobodą.

Spraw, by mgła uciekła przed sobą.

Jeżeli patrzysz jednym okiem, zamknij drugie.

Wchodzisz w trzecią ulicę na prawo, potem w pierwszą

na lewo, przychodzisz na plac, skręcasz koło znanej ci kawiarni, wchodzisz w pierwszą ulicę na lewo. potem w trzecią na prawo, rzucasz swój posąg o ziemię i zostajesz.

Pukaj do drzwi, krzycz: — Proszę wejść — i nie wchodź.

ANDRÉ BRETON et PAUL ELUARD („L’Immaculée Conception”)  
przełożył Zbigniew Bieńkowski

## P L A M Y W P R Ó Ż N I

1.

lata żyją od włosa do włosa  
poprzez osierocone powietrze  
żyją jak jajko  
które wylęga owoc  
na sznurze rozpiętym pomiędzy dwoma skrzydłami  
powietrze w latach skrzydeł  
owoce rodzą skrzydła  
liście skrzydła krwawią  
na trenach powietrza.

HANS ARP

przełożył Julian Przyboś

2.

głowy umarłych  
błyszące jak słońca  
biegną spragnione ku krynicy próżni  
pogardzone przez chciwe kaczkę  
żarłoczne niemowlęta  
i wszystkie et caetera  
numerowane i podpisane przez autorów

8.

kres powietrza  
i koniec świata  
są krągłe jak balony  
lecz podczas gdy koniec świata  
siedzi wciąż na swym składowanym krześle  
kres powietrza skacze  
z drzewa turniejów  
do próżnej klatki  
powiewającej w powietrzu

10.

łakome obłoki zagłębiają  
swoje ryjki i ogony  
w pachnących ranach  
kwiatów z perukami miodu  
przechadzają się po gadatliwej wodzie

HANS ARP („Des tâches dans le vide”)  
przełożył Zbigniew Bieńkowski

Mora pól ukrywa w swoim wątku żar owadów. Z dłoni w dłoń przechodzi łasica pod postacią skorpiona w pułapce złośliwości. Chodź, mały kwiecie nieprzetłumaczalny, tędy (c h o w a s i ę). O tam! szofer (s c h o d z i z e s w e g o s i e d z e n i a i u c i e k a). Czekaj, przypominam sobie jednak imię... Szuflę diamentów temu, kto przyprowadzi mi psa, którym byłem.

A ja nie zapominam o niczym. Jest jeszcze jedna butelka krwi dla tego, kto zgodzi się żyć z obrazami, których ja nie chciałem,

Jest mi straszliwie lepiej Próżne słowa, które włożono mi w usta, zaczynają wywierać wrażenie. Bliźni mnie opuszczają. Z ręką w grzywie lwów widzę oszukańczy horyzont, który okłamie mnie po raz ostatni. Korzystam ze wszystkich jego kłamstw w kształcie obierzyn i z tego małego spaceru, który odbywa przechodząc zawsze przeze mnie. NIC nie służy mi tak dorze jak spotkanie z NIM.

Jednakże cóż za głupi egzamin! Ostatecznie jakoś bym z niego wybrnął bez tego drobnego pytania z historii. Całe szczęście, że się nie stawilem.

Podróże zawsze wiodły mnie za daleko. Pewność przybycia wydawała mi się tylko setnym uderzeniem dzwonka u drzwi, które się nie otwierają.

Oawet cierpienie było straszne. Kiedy ta kobieta o ciele z żaluzji przyszła wachlować się na moim łóżku, zrozumiałem, że będzie mi zimno. Lecz młodość czuwała: w rzeczywistości zaledwie cierpiałem. Trzeba przyznać, że zatrzymałem jej głowę na mej piersi. Tam, ta jasność, to jest jej kształt nocny, który nie może zniknąć, który podtrzymuje noc i przetrząsa światło tam, gdzie mnie nie ma.

Zresztą studnia jest całkiem na powierzchni. Pierścień lata we włosach wiosny tłumaczył mi długo, co to jest obietnica. Rozwydrzony deszcz nosił w swoich antenach postęp kulejący na mchu. On zawsze wyśpiewuje groźny i milczący kaprys, który wszystko doprowadza do zagłady Dźwięk jego głosu jest bliźną.

Oto wielki plac pobekujący Barany z szybkością wiatru przybywają na szczydłach.

## JEDEN MNIEJ JEDEN WIĘCEJ

Tysiąc parasoli i tysiąc butelek Pimperntu  
bijąc się dookoła alembiku  
płdzą mniej lub bardziej nieszczęśliwie lawinę iglastych kłębków  
które z wściekłością kłują mosty i gościńce  
uśpione w szparagowych polach  
A rozgniewane szparagi budzą się z odwiecznego letargu  
i obrzydliwe pola kryją swą twarz w witrażowej chustce  
W ten sposób rozpoczyna się nowe życie topól stojących przy drogach  
gdzie przechodzą ledwie z uderzeniem młotów  
porcelany poszukiwane przez amatorów miotających się na krześle  
z kurnika

Checieliby bardzo odpocząć na elektrycznym krześle  
i narzekać na ciężkie czasy  
ale czasy są lekkie  
i topole daremnie idą ulicą pomiędzy żandarmami  
żandarmi niestety jeszcze nie wiszą  
gdyż wiatr nie zrzuca rogów bykom  
ani nie podnosi gór chociażby na wysokość obcasa damskiego pantofla

Tylko wskazówki zegarków  
przedsięwzięły wielką podróż poprzez mechanizm  
i nakoniec poślubiły uroczyście spiralną sprężynę która od tak dawna  
puszczała do nich oko

BENJAMIN PÉRET („De derrière les fagots” — 1934)  
przełożył Zbigniew Bieńkowski

## GODZINA PASTERSKA

Pola wdzierały się w ulice,  
w salony z kryształowymi pajakami.  
Wysokopiennie lasy osiedliły się w podwórzach,  
dęby zawiązywały żołądzie w strychowych okienkach,  
stół wynikał z wołu.

Białe dzieci w sabotach  
wydawały rozrzutnie pieniądze wśród paproci.  
Ubierano się w firanki i lustra.  
W południe, panowie we frakach zgięci nad mchem  
zbierali perłę po perle sto pereł.

Suknia wieczorowa biegła i krzyczała na polanie.

GEORGES HUGNET  
przełożył Julian Przyboś

## MŁODA POEZJA FRANCUSKA

Na zachodzie — wiele zmian. Powieść francuska wyżywa się wprawdzie w dalszym ciągu w drenowaniu coraz mniej żywnych terenów duszy ludzkiej i więdnie „w poszukiwaniu utraconego czasu“, rzadko zdobywając się na akcenty tak świeże i śmiałe, jakie spotykamy obecnie w literaturze angielskiej<sup>1)</sup>, ale za to poezja, jak zawsze, jest odkrywczą; idzie naprzód trawiona gorączką nowych dróg, ujęć i odkryć. Generacja apollinariowska — należy już do przeszłości. Max Jacob uświęca to

1) Joyce, Lawrence (ale nie ten z „Kochanka Lady Chatterley”, lecz Lawrence autor „The women in love” czy „Sons and lovers”) Virginia Wolff, Huxley (The eyeless in Gaza), Rosamond Lehman i in.

oficjalnie, kreśląc na łamach „Les Feux de Paris“ galerię swoich współczesnych i dzieje dawnego Montmartru. Cocteau ratuje się przed akademizmem coraz nowymi nieprzewidywanymi skokami: od katolicyzmu do podróży naokoło świata a la Philéas Fogg czy obejmowania posady managera słynnych bokserów Salmon wypowiada się w miernych reportażach z sali sądowej lub z Hiszpanii, pisywanych w „Le Petit Parisien“, wydając w międzyczasie po kilkuletnim milczeniu nierówny poemat „Saint André“, Cendrars od dawna zarzucił już poezję... Stara gwardia ma dziś sławę, czasem niezłe posady... generacja apollinairska należy już do przeszłości. Do historii literatury.

W podobnej sytuacji zaczynają się znajdować także i ci poeci, którzy zaraz po wojnie tworzyli ruch dadaistyczny i jego przedłużenia na terenie francuskim. „Niezrozumialec“ Tzara, siwowłosa już twórca dadaizmu, figuruje w każdej historii współczesnej poezji. Dadaiści francuscy z małymi wyjątkami tylko przeszli początkowo do nadrealizmu, który wkrótce po pierwszym manifeście Bretona z r. 1924 skupiał prawie wszystkie najwybitniejsze nazwiska poetyckie Francji: Breton, Eluard, Aragon, Ribemont-Dessaignes, Desnos, Soupault, Baron, P<sub>é</sub>ret... Po secesjach i rozłamach zostaje z Bretonem tylko Eluard i P<sub>é</sub>ret. Na uboczu trzymają się wielcy samotnicy: St John Perse, Fargue, Supervielle i Jouve.

Ale już zaczyna narastać nowa generacja poetycka. Część idzie w kierunku nadrealizmu (Crevel, Hugnet, Char, Gisèle Prassinos) większość szuka jednak własnych dróg. Powstaje mnóstwo czasopism, przeważnie efemeryd. Gościny udziela młodym w Paryżu — „La Nouvelle Revue Française“, na prowincji — wychodzące w Marsylii „Cahiers du Sud“. Dłuższy czas regularnie ukazywała się „Sagesse“, ale z tej grupy tylko Marc, Follain i Norge zdobyli sobie pozycję literacką. Obok tego istniało wiele innych czasopism skupiających poetów: Lannes wydawał w Paryżu „Feuilles Vertes“, Roger Richard — „Les Cahiers des poètes“, Marc i Rousselot — „Le Dernier Carré“ Yves Demailly w Lille — „La Hune“, Manoll w Nantes — „Le Pain Blanc“, Guy Levis Mano skupił w „G.L.M.“ nadrealistów i najbardziej nowatorskie elementy spośród młodych. W kolekcji Feuilletts de „Sagesse“ zgromadził Fernand Marc ok. 50 nazwisk. Życie poetyckie Francji — bije pełnym tętnem.

Po kulcie nowoczesnego życia, miasta i szybkości z epoki apollinairskiej, po dadaistycznym proteście i negacji wszelkiej sztuki — nadrealizm uczynił z asocjacionizmu naczelną zasadę twórczości posuwając ją do absurdu w koncepcji „écriture automatique“ Freudystyczny pejzaż nadrealistycznej wy-

obraźni ciążył przez szereg lat nad młodą poezją francuską. Dopiero niedawno zaznaczyła się reakcja przeciw temu. Wiersze Lannesa, Le Lougta, Fraysse'a, Humeau, Yanette Deletang-Tardif i in. cechuje przewaga elementu cerebralnego nad uczuciowym, podczas gdy Marc, Maurice Blanchard, Valentine Peprose, Patrice de la Tour du Pin, Lacôte czy Manoll chronią się w sferę innej uczuciowości, a Follain dochodzi do granic poetycznej groteski. Od niekontrolowanych wytworów fantazji poezja zaczyna znów powracać do uczuć wyraźnie zdefiniowanych. Nowa poezja francuska różni się ogromnie od współczesnej poezji polskiej. Operuje ona przeważnie pojęciami. Nawet metafora oparta jest u nowych poetów francuskich nie na widzeniu, lecz na ścieraniu się pojęć i definicji. Wśród poetyckich rekwizytów znaleźć można niewiele przymiotników. Przeważają rzeczowniki konkretne lub pojęcia abstrakcyjne. Rozluźnianie składniowe jest jednym z najczęstszych sposobów poetyckiego kompensowania tych elementów. Zwyczajna metafora występuje raczej rzadko — często za to spotkać można to, co określiłem w „Poezji integralnej“, jako metafory rozwinięte czy zdania metaforyczne. Eliptyczny charakter budowy wiersza właściwy jest tylko niektórym poetom. Najczęściej wiersz jest grą chłonnego intelektu wysoko stojącego pod względem kultury wyczuwań, Poetów francuskich prześladują nie tyle wizje, barwy czy tony, ile abstrakcje pojęciowe. Jest to może wynikiem właściwości charakteru narodowego Francuzów, owej typowej francuskiej skłonności do definiowania, do operowania jasno sprecyzowanymi pojęciami bez uczuciowej mglistości. Poezja francuska ma pociąg do wyraźnego określania, do nazywania obrazów i pojęć. Pomimo pozornego „niezrozumiałości“ i czasem zupełnego nawet rozluźnienia składni — poeta francuski nigdy nie przechodzi w mglistość i niejasność. Sam język bowiem wymaga takiej jasności i logiki, że najmniejsze zapędzenie się w sterę sentymentalizmu staje się grzechem nie do wybaczenia. Równocześnie poeci francuscy pełni są jednak gorączki twórczej, która przejawia się także w czasie obcowania z nimi lub w listach. Jedną z niezmiernie charakterystycznych cech jest wreszcie niezwykle obfity, własny słownik poetycki i troska o bogactwo środków.

Nowa poezja francuska idzie w kierunku coraz to ściślejszego organizowania elementów uczuciowych i zespolenia ich z odpowiadającymi im pojęciami. Można by powiedzieć nawet, że dąży do ich wzajemnego połączenia i utożsamienia. W ten sposób dochodzi też do nowej obiektywizacji, która staje się obecnie głównym celem młodej generacji poetyckiej.

JAN BRZĘKOWSKI

## F R A G M E N T

Marzysz o nowych prawdach  
o miłczeniach tak przybliżonych że zgłębiają szczęście  
Masz się sów gdy muskają w locie swoje własne groby  
Jesteś wielką lżącą figurą  
człowiekiem z kamienia stojącym w wietrze  
Możesz podnieść sfery  
rozebrane ze zwięzłości  
szyć ptaki nie po nici  
zdać się na melodie  
które płyną w sieci łez  
wierzyć w sianożęcie szyb  
nie zapalających już swojego torsu ze śniegu  
nigdy nie przekroczysz gór — szczyt złamany  
nigdy nie zetniesz łbów fal  
ani tych ech bez oczu podobnych do dróg niedzieli ozdobionych trofeami  
cudzołóstw  
nigdy nie popłyniesz z marynarzami do uległego serca  
nigdy nie będziesz całował ust posągów  
nigdy mnie nie obudzisz spomiędzy fałdów mojej pamięci

FERNAND MARC („Nomenclature”)  
przełożył Julian Przyboś

Dzieci  
są tutaj korsarzami na dalekich rejsach  
opróżniają starych z miłości  
gdzie tęcza się kryje  
pod spódnicą służących  
gdzie pajak kołysze ślimaka  
lecz dziewczynki ubrane w amazonki  
klękają  
przed białą maską  
i żołnierze bez broni  
zawodzą  
romancę lekką

FERNAND MARC („Chansons nouvelles”)  
przełożył Julian Przyboś

## TWARZĄ W TWARZ

W godzinie, kiedy niebo staje się jak wody,  
spojrzała na swe ręce i drży,  
oto zmierzch powleka jej paznokcie,  
bije ją odurzający huk dzwonów,  
niebo zstępuje ku paznokciom,  
aby kąpać oczy miłujące.  
W godzinie, gdy u kresu palców  
zadygotały paznokcie, w godzinie cieni,  
które przyjmuje kobieta strojna.  
Krąg cienia wylega odbłask jej łona  
wślizguje się w dłoń, w napięstek i pada  
około nóg na podłogę ogromną,  
gdzie strojna suknia opiera się próżni i drży.  
Nie, nie krzykniesz, spokojna;  
cień ogarnął płot,  
chmury się splamiły  
wielkim ogniem przestworzy  
Więc  
Jesteś zamurowana.

JEAN LE LOUËT  
przełożył Julian Przyboś



## S A M O T N O Ś Ć

W pobliżu wielkiego kielicha u stóp wody przejrzystej  
powoli  
zdjął maskę wykrojoną z drzewa.

Krew zwierząt  
strumieniem biła w noc ze słodyczy i czaru.

I gdy nasłuchiwał  
maska biała jak ciasto chlebne  
próchniała od cieni po bokach.

JEAN FOLLAIN („Chants terrestres“)  
przełożył Julian Przyboś

\* \* \*

Burzę przewyższył jej biegun i poryw,  
z drzewa zmazanego pozostaje owoc.

Krew na drodze powrotnej spostrzegła się znowu,  
że ją więzi ciało, kamień chory

Poniesiemy nasze lata tak szczelnie, że do naszych dłoni  
wejda, by w nich spać, ścigane stada nieczyje  
obciążone tęgimi kawałami mięsa nocy  
wiszącymi u ich szyi.

ROGER LANNES („La nuit quand même“)  
przełożył Julian Przyboś

### Z POEMATÓW O MIŁOŚCI DZIKIEJ

Poryk przewalał się po zwichrzonej puszczy,  
zagłuszając sygnały pastuchów.  
Stąpałeś wzdłuż obnażonego wybrzeża  
pod przypiływem zwierząt łowiących.  
Ptak urodzony w trawach mórz zamierzających  
broniąc cię przed ogniami dziwów  
szedł za tobą krawędzią przepaści,  
w których są miasta zatopione ziemi.  
To tam w potędze zdobytego szczytu,  
twoje ręce, zdrajczyniie uchodzącej burzy,  
wstrzymały pogrzeb legendy wśród gruzów  
i cichy spisek łamliwych korzeni.  
Wiem, że nie będę już cierpieć od ruin,  
że odąd wszystko stało się już dla mnie  
w dookolnej nocnej podróży.

RENÉ LACÔTE  
przełożył Julian Przyboś

\* \* \*

Dozorują wapiennych umarłych  
bagna się zwierają  
ścieżka osacza pagórek  
wspinam się na nią obciążony zimnem  
niebo się zamyka i ścierniste płaskowzgórze unerwione koleinami  
rozciąga się bez kresu  
do kresu miasta gdzie ludzie wracają bardziej samotni  
niż płot zbłąkany strach zwierzęcia  
przedmieście rozbija szyby o oczy

Poznają ich krzyki, rozdarte zarodki  
myśli przechodzącej  
w rowy bez żołnierzy

Jeden po drugim gasną w ciasnych dworcach  
znak machający rękami  
krwawe słońca ich królestwo

JEAN FRAYSSE  
przełożył Julian Przyboś

\* \* \*

Latające ryby kąpią się w mlecznej drodze  
wszystkie stopione góry lodowe przewalają się po pochyłościach morza  
rzeka wysmukła swoje odbicia  
z obracającego się koła arki sypią się śnieżne płatki księżycy  
grudy chmur toczą się po dachach  
płynące węzły wody zacieśniają się koło szyi śpiącego  
wspomnienia zimują pod korą jego oczu  
łaka schwytna w sidła szamoce się w sercu  
czyż nie znajdzie nigdy twojej twarzy?

MICHEL MANOLL („La première chance”)  
przełożył Julian Przybós

## ŻYCIE I ŚMIERĆ FEDERICO’A GARCIA LORCA

Pole czerwone co obrywasz owoce i liście oliwnym drzewom  
Co niestrudzenie wznosisz się i opadasz twoimi bronami  
Tam gdzie zwisają gałęzie wody wrodzony czarny popęd pór roku  
Pod tym tułaczym dachem co wiruje dookoła nieba  
I rzuca swoje okienka pod szturm błękitnych ziarn  
Rozproszony jak łaka zalana wodą  
Jakiś palec kreśli twe imię Federico  
Jakiś palec przebiega wybrzeża diamentowych piasków  
Wnika w skórę kopalni gdzie bije serce zbóż  
W wachlarz piany otwierający się na morzu  
Przebija zbroca płomieniami strumieniących się sierra  
A drzwi twoje przesiewają pofałdowane torby cienia  
Twarz twoja wschodzi nad światem  
Wznosi się aż do ruchomych gwiazd gdzie orły oczekują ciebie

Biesiado meteorów żył rozkwitających nagle  
Równino uderzeń dobosze swój trud wieńczę  
Twoim głosem z tęczy  
Ciężkie wawrzyny piór kroczą w twej pamięci  
A bluszczyk zstępując na ramiona twoje okrywa promienną bliznę Hiszpanii  
W cichym ustroniu sioła  
Niewidzialny czujny opiekunie winnie orki  
Pasterski kij z szafranu przewodzący chórom  
Witam cią jeszcze Federico

Pniu popiołów toczony przez świerszcze  
Cokół Hiszpanii rozchyła swoje listowie  
I przechodzisz poprzez szczelinę granic  
Przecinasz ziemię przejrzystą piłą  
Stojąc z błyszczącą w tych ustach jak srebrny gwizdek Grenadą  
Stojąc w okryciu na którym śpiewają gازه  
Grenada za krwią twoją podąża fontannami  
Gdy krok twój kruszą tryby nienawiści

Wielkie milczenie rozwiesza swą mgłą pod czołem  
Rozbraja mięśnie poematu  
I okrywa się miłością twoją Federico.

MICHEL MANOLL  
z rękopisu przełożył Zbigniew Bieńkowski

## PRZEGLĄD POEZYJ

Stefan Napierski; „Liryki francuscy“ tom I—1936;  
tom II — 1937 Warszawa. Skład główny: Towarzystwo Wy-  
dawnicze.

Twórczość przekładowa Stefana Napierskiego oczekuje na  
specjalne studium. Artystyczny przekład jest tworem zbyt zło-

żonym, by podchodzić doń bez ustalenia specjalnych kryteriów estetycznych. Wierności treściowej uważanej na ogół za sprawdzian dobroci przekładu, nie można pojmować zbyt rygorystycznie, gdyż pamiętać należy o nie mniej ważnej wierności formalnej. Tłumacz poetycki nie zawsze mogąc swoim językiem wyrazić cały wysiłek autora musi ze świata własnej fantazji wywołać obrazy, które by odpowiadały atmosferze utworu. I stąd do twórczości tej tak bardzo zdyscyplinowanej trzeba podchodzić z delikatną ostrożnością.

Napierski przedstawiając nam w swojej antologii 81 poetów z różnych epok i szkół dał dowód jak dużej skali wrażliwością rozporządza. Od Lamartine'a do Pierre Jean Jouve'a, od Lautréamont'a do Paul Claudel'a. Rzecz zrozumiała, że nie wszędzie potrafił zbliżyć się do ducha przekładanego utworu, nie wszędzie też dał rzeczy najistotniejsze dla tłumaczonego poety. Najślabiej przedstawiają się nadrealiści; zaledwie jeden i to wcale niecharakterystyczny wiersz Breton'a, Desnos reprezentowany nie z najlepszej strony, brak Soupault'a, Baron'a i tak ciekawego, a zupełnie nieznanego u nas Péret'a. Szkoda również, że nie została uwydatniona niezwykła postać Jouve'a, którego twórczość ogniskuje wokół siebie całą młodą Francję poetycką. Natomiast wdzięczność winniśmy tłumaczowi za fragment z Lautréamont'a.

Antologią swoją obejmującą tak wielką liczbę nazwisk Napierski chciał dać polskiej publiczności syntetyczny obraz francuskiej poezji. Dlatego żałować należy, że nie znajdujemy tam A. Salmona. Ch. Péguy'a, E. Fleg'a (żeby tylko tych wymienić). Szkoda również, że tłumacz nie dał (choćby ze swojej poprzedniej książki: „Od Baudelaire'a do nadrealistów“) utworów Tzara'y, których brak daje się odczuć. Tyle zastrzeżeń.

Z najwyższym natomiast uznaniem należy odnieść się do przekładów z Jacob'a, Gide'a, Claudel'a (tutaj najlepiej widać ogrom wysiłku), Apollinaire'a i Fargue'a. Wydaje mi się, że w atmosferze Apollinaire'a i Jacob'a S. Napierski najswobodniej się czuje (ciekawe byłoby zestawienie nie tyle zależności ile pokrewieństwa oryginalnej twórczości Napierskiego z twórczością Francuzów). W omawianej antologii jest kilkanaście przekładów idealnych, które bez reszty oddają piękno oryginału (że wymienię: „Syna marnotrawnego“ Gide'a, „Jutrzenkę“ Valéry'ego i „Duszę“ Supervielle'a“), Całość zaopatrzona bogatą bio-bibliografią wprowadzi każdego w gąszcz francuskiej poezji drogą niezwykłych wzruszeń. Stefan Napierski ma już na sumieniu kilku osobników, których pierwszym swoim tomem przekładów

związał ze sztuką Francji. Należy się spodziewać, że teraz liczba ich jeszcze się powiększy.

Jan Brzękowski: „Spectacle metallique“, Feuilletts de Sagesse, Paris, 1937

Francuski tomik wierszy może być podstawą do syntenicznego przedstawienia twórczości tego świetnego poety. Dzięki precyzji języka osiągnięcia Brzękowskiego uwypuklają się tu wyraźniej niż gdzie indziej. Dotychczasowy stosunek krytyki do poezji współczesnej sprowadzał się do uogólnień. Wyolbrzymiony cień Peïpera przyćmił jakżeż silne indywidualne blaski. Czas chyba przypomnieć, że ta sławna „elipsa“ złączona nierozdzielnie z pojęciem awangardy jest wyłączną zdobyczą Brzękowskiego. Teraz, po wykończeniu się Skamandra, czas na wyprowadzenie spod wspólnego mianownika i zróżnicowanie osiągnięć twórców Nowej Sztuki (może podjąłby się tego H. Michalski?) Brzękowski obok Czechowicza jest najczystszy lirykiem współczesności. Usiłuje on wyzwolić żywioł liryczny z płaszczyzny przez wprowadzenie elementu ruchu. Ruch ten jest jednak przeciwstawieniem płynności. Raczej ciągle zastyganie w czasie. „Kwantyczność“ — jak się niedawno wyraził poeta W omawianym zbiorze obok przepięknych: „Psaume“, „Siffleur d'étoiles“ uderza jako pełny wyraz zamierzeń poety wiersz:

#### PRZESTĘPSTWA CZASU

z rozległej republiki dni  
wychodzimy — wylęg płodny samotny —  
lata wstępując w podmorskie stolice  
opanowują równiny płomienne i brodate  
i  
kolumny naszych wodnych snów  
porozwieszane jak metalowa bielizna w pokojach bez miłości  
opuszczają  
pod namiotem z gwiazd  
łono wezbrane pożądaniem  
w przezroczyściej ciszy  
wyczuwam  
czas który powoli  
płynie między moich stóp kapłańskimi palcami

Krystalizacja płynnego uczucia. Zestalenie się energii. Posągowość kinetyczna, drapieżna. Niepokój tym większy, że skamieniały, nieprzemijający. Brzękowski nazwał poezję przyszłości meta-realizmem. Narzuca się nieodparcie myśl, że jesteśmy świadkami jego narodzin.

ZBIGNIEW BIENKOWSKI

W czasie składania niniejszego numeru  
odeszli

BOLESŁAW LEŚMIAN

ANDRZEJ STRUG

ZBIGNIEW UNIŁOWSKI

Cześć ich pamięci

## WŚRÓD FRANCUSKICH CZASOPISM POETYCKICH I PUBLIKACYJ PERIODYCZNYCH

FEUILLETS DE „SAGESSE“ (Fernand Marc — Boîte postale 51, Bureau 14 Paris). Po przerwaniu wydawnictwa czasopisma „Sagesse“ Fernand Marc przystąpił do ogłaszania małych, ośmiostronowych zbiorów poezji, ukazujących się mniej więcej w odstępach miesięcznych. Każdy „feuille“ poświęcony jest twórczości jednego poety. W kolekcji tej ukazało się dotychczas ok. 50 zeszytów z utworami czołowych przedstawicieli młodej poezji francuskiej, a częściowo również i poetów starszego pokolenia. W pierwszej serii znajdujemy: F. Marca, J. Rousselota, J. Le Loueta, Yanette Deletang-Tardif, R. Lacôte, Gizelę Prassinosa, J. Follainą, Y. Demailly, E. Humeau, I. Golla J. de Bosschère, Audibertiego, R. Lannesa, G. Linze'a A. Silvaire'a, M. Manolla, Rogera Richard i in. W drugiej serii — Tzarę, Arpa, Hugnetą, Brzękowskiego, R. Delahayę, R. Meurant, E. Vandercammena i in.

CAHIERS DES POÈTES (Librairie René Debresse — 38, rue de l'Université — Paris 7-e) wydaje również kolekcję poetycką pod redakcją Rogera Richard. Te „cahiers des poètes“ zostały dotychczas poświęcone Vandercammenowi, J. Bousquetowi, Follainowi, Patrykowi de la Tour du Pin, Salmonowi, F. Marcowi, J. Le Louetowi i in.

FEUILLES VERTES (R. Lannes — 118, Bd. Richard Lenoir — Paris XI-e) ukazywały się przez dwa lata pod redakcją Lannesa i miały charakter zeszytów poświęconych wyłącznie poezji. Niedawno przestały one wychodzić.

LES NOUVELLES LETTRES FRANÇAISES (R. Lannes 118, Bd. Richard Lenoir Paris XI-e) redagowane są przez Lannesa i Le Loueta. W pierwszych numerach zasługuje na uwagę ciekawa proza J. de Bosschère oraz utwory Lannesa, Le Loueta, Mariusa Richard, Eollain i in.

LES FEUX DE PARIS—(159 Bd. Bineau — Neuilly s. Seine—Seine) ukazują się pod redakcją Fraysse'a. Wydawane luksusowo i wyraźnie kokietujące pewne arystokratyczne salony literackie — przynoszą pomimo to szereg wartościowych pozycji poetyckich. W ostatnim numerze zasługują na uwagę ciekawe wspomnienia Max Jacoba.

G. L. M. (6, rue Huyghens— Paris XIV-e) skrót nazwiska redaktora i wydawcy Guy Levis Mano — grupuje przeważnie nadrealistów i ich sympatyków. Czasopismo to wychodzi jako dwumiesięcznik. G. L. M. wydaje również szereg kolekcji poetyckich w formie bibliofilskiej. Obok nadrealistów: Bretona, Eluarda, R. Chara, G. Hugnetą, Péreta, Gizeli Prassinosa i in. spotykamy tu także nazwiska Tzary; M. Jacoba, F. Marca Le Loueta, Audibertiego i in.

LA HUNE 24 rue du Priez — Lille — Nord — wychodzi w Lille pod redakcją Yves Demailly. Czasopismo to nie ma bynajmniej lokalnego charakteru, lecz skupia najwybitniejsze nazwiska poetyckie młodej Francji.

REGAINS — Pierre Boujut 20, rue Condé — Jarnac (Charente). Czasopismo to wychodzące pod redakcją Boujuta, przy bliskiej współpracy René, Lacôte'a. Vagne'a i in. również grupuje nie tylko miejscowych literatów, ale stara się także o współpracę najlepszych sił poetyckich z Paryża.

LE PAIN BLANC (8, Place de Bretagne — Nantes — Loire Inf.) redagowany jest przez Michela Manoll w Nantes. Obok poetów związanych z Bretanią znajdujemy tu utwory F. Marca, Y. Deletang-Tardif i in.

LES CAHIERS DU JOURNAL DES POÈTES—(Pierre-Louis Flouquet 65, rue Van Artevelde Bruxelles). Po zawieszeniu „Journal des Poètes“ Flouquet przystąpił do wydawania „Courrier des Poètes“ i kolekcji „Les Cahiers du Journal des Poètes“, w której ukazały się ostatnio tomy P. Reverdy i P. Dermée.

## ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

P. ZYGMUNT PAJ. w WARSZAWIE-PRADZE. Z trzech nadesłanych wierszy najlepszy „Sonet o zmierzchu“. Może wydrukujemy, ale wolelibyśmy zapoznać się większym wyborem wierszy.

P. TADEUSZ Z. w WARSZAWIE. Dziękujemy i prosimy o nas nie zapominać. Zamieścimy „Za Niemen“ i „Dzieciństwo“

P. LEON P. we LWOWIE. Dziękujemy za wiersz, prosimy o większy wybór.

P. BRONISŁAW WIECZ. w ŁODZI. Dziękujemy za list Coś z wierszy zamieścimy z odpowiednią adnotacją. W tych dniach wysłamy parę książek.

P. ALFRED W. w ŁODZI. Nadesłane wiersze dużo lepsze od poprzednich. Prawdopodobnie coś wykorzystamy w jednym z wiosennych numerów.

P. KAROL w CZORTKOWIE. „Przemiany“ W-wa, Nowy Świat 21 m. 4. „Dekada“ W-wa, Orla 8 m. 1. „Kuznica“ Katowice, Dąbrowskiego 4. „Biuletyn Polsko-Ukr.“ W-wa, Nowy Świat 66 m. 13. „Prąd“ Lublin, Uniwersytet. Z wierszy nie skorzystamy.

### KSIĄŻKI NADESLANE DO REDAKCJI

Andrzej Strug: Miliardy, Warszawa Gebethner i Wolff.

Antoni Gronowicz: Zbuntowaną pieśnią przez wieś, Lwów 1938

Antoni Kasprowicz: Chwasty płonące, Łódź 1937

Bronisław Kamiński: Przeciwn. Kraków, Klub Młodych Artystów 1937.

Jerzy Putrament: Droga leśna, Wilno 1938

Kazimierz Niepokoyczycki: Słowacy i Czesi, Warszawa, W-wo „Myśli Polskiej“ 1937

Adolf Vesely: Nemocny jde do lèta, Praha L. Mazacz 1935

Piotr Choynowski: Mladyma oczima, Praha L. Mazacz 1937

### NUMERY SPECJALNE „KAMENY

Nr 10 (rocznik I) poświęcony Mickiewiczowi z okazji stulecia „Pana Tadeusza“.

Nr 8-9 (rocznik II) poświęcony Tatrom.

Nr 10 (rocznik III) poświęcony morzu.

Nr 5-6 (rocznik IV) poświęcony Tatrom.

Nr 7 (rocznik IV) poświęcony Puszkiniowi z okazji stulecia jego śmierci.

Nr 9-10 (rocznik IV) poświęcony współczesnej literaturze słowackiej.

Nr 3-4 (rocznik V) poświęcony nowej poezji francuskiej.

## BIBLIOTEKA „KAMENY”

1. Sergiusz Jesienin: Wybór poezyj, przełożył K. A. Jaworski 1931
2. Aleksander Błok: Ogród słowiczy i inne poezje, spolszczył K. A. Jaworski, 1934.
3. Sergiusz Jesienin: Spowiedź chuligana i in. poezje, spolszczył K. A. Jaworski, 1935
4. Aleksander Błok: Wiersze włoskie, spolszczyli K. A. Jaworski i J. Łobodowski. 1935.
5. Stefan Napierski: Liryka niemiecka 1936
6. Mikołaj Gronskij: Belladonna, spolszczył K. A. Jaworski 1936
7. Zdzisław Popowski: Pieśni uroczyste, 1936
8. Olga Dauksza: Walet kierowy, 1937
9. K. A. Jaworski: W połowie drogi, 1937
10. J. K. Weintraub: Próba powrotu. 1937

### N A D E Ś L A N E

Wanda Karczewska: „LUDZIE SPOD ŻAGLI”. Powieść. Wydawnictwo Ligi Morskiej i Kolonialnej i Instytutu Wydawniczego „Biblioteka Polska”. Warszawa, 1937. Barwna obwoluta A. Wajwoda Stron 220, Cena 6 zł.

Prawdziwą rewelacją okazała się wydana ostatnio książka Wandy Karczewskiej p. t. „Ludzie spod żagli”. Nieoczekiwany debiut młodej, bo zaledwie 22 lata liczącej autorki — wywołał ze strony opinii sfer literackich reakcję właściwą, książka bowiem z miejsca zyskała nagrodę im. J. Szareckiego, przyznaną przez Towarzystwo Literatów i Dziennikarzy Polskich w Warszawie. Jury nagrody orzekło, że „Utwór ten, o wysokiej wartości artystycznej, jest w y b i t n ą polską powieścią, dającą obraz morza, widzianego z żaglowca, oraz życia marynarzy w całym jego żywiołowym pięknie i grozie”.

W powieści tej odmalowane są losy załogi żaglowca, płynącego z australijskiego portu Sydney do Oskarshamnu w Szwecji. Główna postać utworu, marynarz Lars Olafson — pod wpływem śmierci brata, którego wichura sztormowa strząsnęła z omasztowania — doznaje głębokich przeżyć psychicznych, skrzętnie skrywanych w atmosferze codziennej ciężkiej pracy żeglarskiej.

Doskonale naprawdę piękne opisy morskiego żywiołu i życia okrętowego, — świetnie uchwycone, a ludziom lądu nie znane bliżej środowisko marynarzy i oficerów z żaglowca, ich zainteresowania, troski, myśli rozmowy, odruchy — oryginalne bogactwo barw i tonów stylistycznej palety autorki i jej wrażliwa spostrzegawczość, — przy tym niespotykane u polskich literatów znanstwo spraw morza i statku — oto niecodzienne walory „Ludzi spod żagli”, książki, będącej pierwszą tego rodzaju powieścią morską w polskiej literaturze pięknej.

Książka taka nigdy nie mogłaby zostać napisana na skutek lektury czy pośrednich opisów; powstać mogła tylko pod silnym, bezpośrednim wpływem morskiego żywiołu. I tak też było: z morzem autorka poznała się bardzo blisko, na pokładach jachtów dalekomorskich, którymi w charakterze członka załogi odbyła szereg rejsów zagranicznych, pełniąc na równi z mężczyznami trudną służbę żeglarską.

Fakt ten pozwala na stwierdzenie pewności, że książkę o morzu, wartościową pod każdym względem — napisać może tylko taki talent, którego przeżyciom osobistym nie obcy jest oddech morza, jego puls rytmiczny, jego żywiołowe tchnienie. I właśnie talent taki — książka Wandy Karczewskiej reprezentuje w całej pełni.